# ŚMIERĆ.

IGNACY DĄBROWSKI.

# ŚMIERĆ.

STUDYUM.



WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
Teodora Paprockiego i S-ki.
41. Nowy-Świat 41.

1893.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Сентября 1892 года.



Warszawa. W drukarni K. Rubieszewskiego, Nowy-Świat 34.

W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba, aż się nawrócisz do ziemi, gdyżeś z niej wzięty; boś jest proch i w proch się obrócisz.

Genesis. III, 19.

*25 Lutego.*

Licho wie, co mi tam znów w piersi wlazło: kręci, wierci, kłuje i strzyka, że zipnąć porządnie nie można. I z czego się to złe przyplątało? Jedno głupie przeziębienie nie powinno chyba takich breweryj z człowiekiem wyprawiać. A tu naprawdę wszyscy dyabli piknik sobie w moich płucach wyprawiają. Pluję, charczę na wszystkie strony, mało płuc z tym kaszlem z piersi nie wyrzucę, a żadnego z tych figlarzów retro do piekła odesłać nie mogę. Dalibóg, cierpliwości braknie. Bo żeby to jeszcze była jakaś poważniejsza choroba, tak np. jaka dżuma, cholera, a choćby i suchoty, no, toby człowiekowi i nie żal fatygi było pomocować się trochę z taką grubą sztuką, — a choćby w końcu i klapnąć trzeba było,— to i wielka rzecz!... fiu!... Ale

ja przecież czuję doskonale, że to tylko jakaś przemijająca *faiblesse*, i nic więcej. Influenza, czy co u licha?!

Bo że Stach przesadza, to więcej niż pewno. Do dziś nie mogę mu tego darować, że mnie wtedy do łóżka zapakował. Gdybym się był uparł i na swojem postawił, byłaby się ta cała choroba moja rozeszła jakoś. Alboż to raz tak było? Wieczorem wracam z lekcyi, zmoczony do nitki, nogi pływają, coś mię w piersiach gniecie i kłuje,—a ja na drugi dzień, zdrów jak ryba, znowu od świtu do nocy po błocie maszeruję. A że tam kaszlu trochę było, to i wielka rzecz! — ale nigdy tego suchego, najbardziej męczącego. Ot, — odchrząkiwałem tylko, może więcej od innych, ale to już widać natura moja taka.

I trzebaż nieszczęścia, żem mu tę krew wtedy pokazał. Boże! jaką on miał minę! Malować, słowo honoru, malować tylko! Oczy wytrzeszczone, ręce dygocą; aż mi się go żal zrobiło, doprawdy, bo my się ogromnie z sobą kochamy. Więcej się jego przerażenia zląkłem, niż tej swojej krwi. Naturalnie zmiękłem odrazu, jak masło. Dałem mu już wyprawiać ze mną, co mu się tylko spodobało; a że przytem i te szelmowskie piersi piekielnie, jak nigdy, mię bolały, skapcaniałem do reszty. No i naturalnie stało się straszne głupstwo. Zaczęliśmy się rozczulać wzajemnie (niech licho porwie wszelkie czułości), ja

się niewiadomo z czego i po co rozmazałem, jak stara histeryczka,—potem w nocy gorączka, majaczenie, krwotok, historye,— rano doktór, bańki, lód, — jednem słowem taka chryja, jakiej świat nie widział. No i jak też szczęśliwie z kochanym doktorkiem zapakowali mię do łóżka, tak czwarty tydzień prawie się z niego nie podnoszę. Rozbabrali tylko chorobę, nic więcej, a to wszystko funta kłaków nie było warte. Stach zaraz pompatycznie nazwał moję chorobę zapaleniem płuc i kazał mi w to wierzyć, jak w ewangelię, co nie przeszkadzało, żem się śmiał z tego od początku do końca. Niegodziwiec, chciał mi nawet papierosy skonfiskować: wyprawiłem mu o to taką awanturę, że się na mnie pół dnia dąsał.

A wreszcie, — co mi do tego: wiem, że to wszystko farsa; a że się oni tam pokłopocą troszeczkę o moje zdrowie, nic im to co prawda nie zaszkodzi. Niepotrzebnie mię tylko na babę wykierowali. Ale i to głupstwo jeszcze. Ciekawa jednak bardzo rzecz, co to się z lekcyami mojemi stanie? Marne one, prawda, ale w braku innych i te dobre; choć na jakie-takie życie wystarczały i uniwersytet opłacałem; no, a teraz co będzie?

Oni tylko jedno potrafią powtarzać: „zdrowie! zdrowie!“—a co jeść będzie owo zdrowie, jak się na siłach bardziej wzmocni? ha? Codzień Stachowi kładę w głowę jedno i to samo, a on

tylko: „kpij tam sobie z tego.“ Dobrze, kpij sobie z tego, kiedy masz ochotę, ale mnie, dalibóg, wszelka chęć do kpin odchodzi, jak o tem pomyślę. Bo to wszystkie moje elewy—piramidalne osły: piecem przełażą, każda trójka wymodlona, wyproszona, i bez pomocy korepetytora ani rusz. Niepodobieństwo, żeby moi pryncypałowie na moje szacowne zdrowie oczekiwali; i tak pełno miałem zawsze wymówek: „p. Rudnicki, Kazio znów ma dwójkę z extemporaliów,“ — „p. Józefie, Stefanek znów dziś w kozie siedział,“— „Jasio ma pałkę z algebry!“—„Michasiowi oko podbili!“ i t. p.

Przezacni chlebodawcy! a tożbym ja gagatkom waszym same piątki, nawet rzymskie, z plusami, podawał, słowo daję, gdybym tylko mógł. Dlaczego nie? — to wszystko zapoznane geniusze te wasze Kazie, Jasie i Michasie. Jabym im odrazu promocye do ósmej klasy podawał, bo i cóżby mi to szkodziło? Tylko, niestety, ja profesorem nie jestem, a oni—tacy wymagający! Nic nie zważają, że Kazio ma wrodzony wstręt do łaciny, że Stefanek lubi od czasu do czasu, zresztą rzadko, wesołe psikusy płatać, że Jasiowi nie nauka już w głowie i t. d. — a poza tem to wszystko niezmiernie genialne i doskonałe robaczki.

Co u dyabła! znów widać mam gorączkę. Głowa rozpalona, oczy pieką. No... co oni mi narobili! co oni mi narobili!

*26 Lutego.*

Jak babkę kocham, to dosyć przyjemna rzecz tak sobie niby pochorować odrobinkę. Ostatecznie człowiek nic nie robi, je (co prawda, nie zbytnio ja się i objadam znowu), pije, mógłby spać, gdyby mógł, niby się o nic nie troszczy, a zato wypoczywa, wypoczywa za wszystkie czasy. Jak pamięcią sięgnę, nigdy takich długich i swobodnych nie miałem wakacyj. A przecie już żyłem trochę. Jedenaście lat zeszło w gimnazyum, bo to rozmaicie się tam z tem przechodzeniem z klasy do klasy przytrafiało: i poprawki były, i zimowało się coś ze trzy razy w jednej klasie; a zawsze była praca, pośpiech, termin. Brrr... jak mi to wszystko obrzydło! A przedewszystkiem łaciny i greckiego nie cierpiałem, całą antypatyą mej duszy nie cierpiałem i z rozkoszą zapominałem wszystkich gramatycznych wyjątków tych językowych szpargałów. Teraz znów trzeci rok na prawie mija. Na trzecim kursie najwięcej pracy, egzaminów coś z mendel chyba, a wszystko jeden od drugiego nieznośniejsze. I znów praca i praca.

Wreszcie nie o pracę chodzi, bo i sambym chwili napróżno nie zmarnował, — ale ta terminowość, ten mus, ta nędza, co mi pracę potraja,— to nuży i wściekle męczy.

A! wypoczywam za wszystkie czasy! Pal już licho korepetycye: nie myślę teraz o tej zmo-

rze. Przecież dostanę skądkolwiek choćby najmarniejsze; wreszcie to tylko cztery miesiące do końca roku, to się byle czem obędę. Aby tylko egzamina zdać, a na lato mam już kondycyę zapewnioną.

No, nie zginę; nie nowość dla mnie, jak czterdziestki na tanią kuchnię zabraknie, kawa i dwa serdelki na obiad; żeby choć na to starczyło, —- a przecież i gorzej bywało.

Tylko czy te niegodziwe kamasze przetrzymają jako przyzwoicie tę parę miesięcy? Tak się bezwstydnie rozklapały po błocie, że mi raz z nogi jeden o mały włos nie zleciał, kiedym się na psa zamierzył.

Da Bóg może ładną, suchą wiosnę, to przekołacę w nich jeszcze jako tako, bo o nowych niema co marzyć nawet. Skądżebym ja teraz pięć rubli gotówką wydobył?

A więc pozbywszy się już z głowy takich ciężarów, jak troska o lekcye i buty, nie mam na niej żadnych innych zaległości. Hm...—słowo daję, mógłbym się nazwać szczęśliwym teraz...

Tylko znów ta szelmowska choroba, a raczej ten przeklęty ból w piersiach. Naprawdę, że jak na farsę, to już go zawiele. Świdrowanie ciągle takie, że wytrzymać trudno. Cala lewa strona piersi obolala do tego stopnia, że głębiej odetchnąć nie sposób. Naturalnie jest to tylko skutkiem choroby serca, gdyż i krwotok podobno tylko z powodu jakiejś nieprawidłowo-

ści serca nastąpił. Tak Starzecki mówi. Bo i z czegóżby innego? nie z płuc chyba, boć ja przecie suchot nie mam. No, no... ładnaby była historya, żeby to były suchoty, he... he... he!...

Kiedy się to jednak wszystko skończy? ciekawym bardzo. Z sił opadłem już zupełnie, że i przez pokój przejść trudno, a przecież najdalej za trzy tygodnie muszę być zdrów jak ryba: trzeba będzie generalną bibę na swoje imieniny wyprawić. Można przecież choćby raz w rok, około swoich imienin, zabawić się troszeczkę. Aby tylko ten nieznośny ból z piersi ustąpił,—aby on ustąpił i sił odrobinę przybyło, to i wszystko dobrze pójdzie.

*27 Lutego.*

Kiepsko jakoś ze mną. Wczoraj, rad nie rad, musiałem całe południe w łóżku spędzić, pomimo, żem się już zarzekł leżenia, jak grzechu śmiertelnego. Naturalnie, że jeżeli siły tracę, to tylko przez leżenie; tożby najzdrowszego chłopa ścięło z nóg takie przykucie do łóżka. Muskuły się tylko rozleniwiają i, jak przyjdzie do pracy, odmawiają posłuszeństwa. Bezwarunkowo trzeba będzie choćby przemocą podnosić się z łóżka. Rozpieściłbym się do reszty i możeby przyszło z miesiąc jeszcze pokutować. Od dziś zacząłem racyonalną kuracyę: sam się ubrałem (pomimo komiczno-rozpaczliwych protestów Stacha), przy-

wlekłem się do stolika i ot piszę sobie spokojnie; a choć mi głowa tańcuje na wszystkie strony i czuję, jak mi krew nieraz aż oczy zasłania, tak do głowy uderza, przesiedzę jednak do samego wieczoru, żeby się umyślnie Stachowi sprezentować, jak po lekcyach wróci. Naśmieję się porządnie z jego tragicznych poglądów na moję chorobę.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Tylko co była u mnie Zosia i musiałem przerwać pisanie. A dobrze zrobiła, że przyszła, bo ją ogromnie lubię za jej niewyczerpany nigdy humor. Gdyby nie była moją siostrą, wyśmienitaby z nas była para małżeńska; przynajmniej nigdyby nam smutno nie było. I skąd się u niej ten humor bierze? Nie ze zbytku szczęścia chyba, bo pracuje biedaczka od rana do nocy, lata po lekcyach, musi znosić czyjeś grymasy i fantazye, a mimo to wiecznie wesoła i zadowolona.

Ot i teraz wpadła do mnie taka rozradowana, jakby ją Bóg wie co radosnego spotkało. Słucham, słucham, co takiego, aż tu raptem tyle tylko, że jedna z jej uczennic zakrajała się w okrutny sposób w palec i nie będzie mogła co najmniej przez tydzień grać na fortepianie, a że lekcye nie na bilety, tylko miesięcznie, więc i wytrącać nie będą, a ona będzie mogła codzień wpaść do mnie na godzinkę. Poczciwa, kochana dziewczyna, przyniosła mi w prezencie

oddawna upragniony słownik niemiecki i... parę serdelków na śniadanie: biedaczka zapomniała, że jestem na dyecie. Ona często takie bąki strzela.

Przez cały czas nie dała mi przyjść do słowa, opowiadając, jak zwykle bezładnie, najrozmaitsze historye, a wszystkie ogromnie naiwne.

Podziwiam zawsze, skąd, przy takiej wietrzności i braku poważniejszego poglądu na życie, ta dziewczyna bierze natchnienie do muzyki? Bo przy fortepianie przeistacza się w zupełności: gra całą duszą, całą swoją istotą i dochodzi do zupełnego zapamiętania się. Dawniej nigdy nie wierzyłem ani w jej telent, ani w powodzenie, jakie miała w konserwatoryum. Dopiero 3-cia symfonia Haydna i sonata księżycowa Beethovena pogodziły mię z jej talentem, i nakoniec uwierzyłem, że go posiada. Wiele, bardzo wiele chwil upojenia jej zawdzięczam. Szkoda tylko, że się ten talent na pięćdziesięciogroszowych lekcyach tak marnuje. Być może, iż większą tem korzyść przynosi społeczeństwu, niż gdyby miała po Europie na koncertach rozbijać fortepiany,— zawszeć to jednak przykro widzieć tę iskrę bożą tak zaprzedaną za kęs chleba.

Zresztą Zosia niewiele sobie z tego zdaje sprawy. Nie dostrzegłem w niej dotąd ani cienia zarozumiałości, a przez to niezadowolenia z życia. Ona przyjmuje wszystkie przymusy losu tak spokojnie, tak chętnie, jakby je uważała za

spełnienie własnych marzeń. Dziecko z niej jeszcze takie, że nie zadaje sobie trudu nad dociekaniami w kwestyach życia. Przypuszczam, iż gdyby kto w nią wmówił, że powinna się wyrzec i muzyki nawet, zdołałaby się zastosować do takiego przymusu, choć z wielkim żalem, ale bez cienia goryczy i pretensyi. I nie dlatego, żeby ta muzyka nie była dla niej niemal niezbędnym warunkiem umysłowej egzystencyi,—bo jest ona dotąd jedyną rozkoszą jej życia, — ale poprostu dlatego, że w jej głowie nie postała nigdy myśl jakiegoś oporu względem tego, do czego zniewala życiowa walka.

Do jednego tylko los nie potrafiłby jej nagiąć: — do samodzielności. Ta jej zupełna bierność i uległość dla wszystkiego i wszystkich nie pozwala mi zrobić nawet najdalszych przypuszczeń, coby to dziecko poczęło samo, pozostawione zupełnie bez opieki, bez poddawania myślowego, co ma robić i jak sobie radzić.

Często zadaję sobie pytanie, o ile to dziecinne jej usposobienie jest stanem przejściowym młodego wieku, a o ile wrodzonym i stale się już przejawiającym temperamentem życiowym. Jej lat 18-cie bardziej za tem drugiem przypuszczeniem przemawia. Co ją czeka?

Z takiem usposobieniem może przejść przez życie, jak przez raj rozkoszy, — ale może też paść ofiarą pierwszego wypadku, który wstrząśnie jej umysł swoją bezwzględnością, tem bru

talniej, im mniej będzie do niego przygotowaną. Oby tylko miała zawsze obok siebie jakieś serce kochające, o któreby się wesprzeć mogła! Z niego zaczerpnie sił do zniesienia wszystkiego.

Zresztą ja nie opuszczę jej nigdy. Dotychczas ja jestem dla niej tym bożkiem, przed którym ona unicestwia się w zupełności. Kocha mię tak ślepo, tak bezkrytycznie, iż jej do głowy nie przyszła dotąd myśl, że mogę się mylić w czemkolwiek. Ja wiem o tem, i dlatego mimowoli tyranizuję ją nieraz. Znosi wszystkie moje kaprysy i dziwactwa z taką cierpliwością, prawie namaszczeniem, jak gdybym miał z góry udzielony patent nieomylności. Jestem dla niej ostatnią instancyą we wszystkiem, jej sumieniem i wyrocznią stanowczą. Mnie to śmieszy czasami, szczególniej, kiedy się mnie radzi, jakiego koloru ma sobie suknię sprawić—bo i tych kwestyj nie mogłaby bez mojej porady rozstrzygnąć.

Dotychczas uczuwałem trochę jakby wyrzutów sumienia za to mimowolne zgodzenie się służenia mojej Zosi za punkt oparcia w życiu, choć Bóg widzi, żem się nie starał zupełnie łudzić jej co do siebie. Teraz pozbywam się tych skrupułów, ponieważ dzielę moję rolę opiekuna ze Stachem, a on jest taką antytezą mojej istoty, że gdzie u mnie wada, tam u niego zaleta, — gdzie u mnie nadmiar czego lub brak, u niego, przeciwnie, brak lub nadmiar. Gdyby z duszy mojej i Stacha można było zrobić jaką miesza-

ninę, a z tej dopiero sfabrykować nową duszę, sądzę, iż byłaby ona najwszechstronniejszą w świecie.

Zastanawiam się nieraz nad tem, co mnie ze Stachem, a raczej jego ze mną wiązać może; bo rzeczywiście od lat siedmiu, jak się znamy, a od trzech, jak wspólnie mieszkamy, trzymamy się razem, jak wierzch i podszewka jednego ubrania. Ja często tę kwestyę poruszam w rozmowach ze Stachem, ale on nie lubi roztrząsać podobnych subtelności i nazywa to głupstwem. Może ma i słuszność, ale mnie, nie wiem czemu, kwestya ta interesuje niezmiernie. Może dlatego, że i ja kocham go bardzo, a ja lubię sobie zdawać sprawę ze wszystkich moich czynów i uczuć. Ale tu, dalibóg, analiza moja nic poradzić nie umie.

Bo nie było chyba nigdy dwóch natur tak zupełnie różnych, jak on i ja. On, powaga chodząca, wypchana dogmatami, człowiek olbrzymiej woli, dla siebie nieubłagany,—przytem natura z gruntu poczciwa, prosta, przedewszystkiem prosta i szczera aż do naiwności. Nerwy, rozczarowania, pesymizm, subtylizowanie uczuć i wrażeń nie istnieją dla niego. Uznaje je chyba tylko we mnie i mnie jednemu, jako wyjątkowi, pozwala być takim, jakim jestem i chcę być. Całą resztę świata mierzy swoim łokciem i gwałtem chciałby ją mieć według swego modelu. Wypływa to u niego z tej niewzruszonej siły

przekonań, jaką się szczyci. Tak niezachwianie wierzy w te prawdy, które zdaje mu się, że posiadł, iż kwestyę istnienia odmiennych przekonań spycha zawsze na grunt patologii umysłowej, jeśli naturalnie zechce uwierzyć w szczerość sądów stron przeciwnych. Inaczej—obwinia wszystkich o uprzedzenia kastowe, o nieszczery upór bronienia interesów osobistych i swojej kliki i t. d. Ach, te kasty, te kasty! Ileżem ja się nasluchał już o nich!

Taka uparta niewyrozumiałość, zdawałoby się, powinnaby go uczynić oschłym i obojętnym względem ludzi innych przekonań, — a tymczasem nie. Potrafi zasiekać, pognębić, zbić na miazgę słowami swego przeciwnika; ale niech tenże sam przeciwnik powie, że go brzuch zabolał, potrafi także pobiedz dla niego na dziesiątą ulicę po rumianek. Słowami nienawidzi niemal całego świata, rzuca przekleństwa, groźby, złorzeczenia,—a w gruncie kocha go pewnie lepiej od wielu filantropów i dobroczyńców ludzkości. Sądzę nawet, że właśnie dlatego tak nienawidzi głośno, bo kocha pocichu, i boli go, że ta umiłowana z głębi duszy ludzkość tak się nie umie poznać na jego jedynie zbawiennej recepcie szczęścia i kroczy drogą, którą on za mylną uważa.

Takim jest mój Stasisko.

A ja? Ja właściwie nie jestem jeszcze niczem w porównaniu z jego wyrobionemi już

i niezmiennemi przekonaniami, — a więc właśnie dlatego jestem jeszcze wszystkiem potrochu, i wszystkie wady i cechy całego świata znajdują we mnie swój odblask. Chociaż nie głęboko, ale choćby w zarodkach lub szczątkach, tkwią we mnie te wszystkie piętna świata, jakie mój Stach tak niezmordowanie zbija.

Jestem niby tymczasowo bez żadnych przekonań, tak społecznych, jak filozoficznych; nie przeszkadza mi to jednak w dysputach ze Stachem przybierać rozmaite role i zbijać jego dowodzenia, to ze stanowiska arystokraty, to *bourgeois*, to postępowca, to konserwatysty, to znów panteisty lub ateusza. W gruncie rzeczy nie dowierzam sam sobie i za prawdziwość swoich twierdzeń nie dałbym i trzech groszy, ale mnie coś kusi zawsze do prowadzenia z nim zażartych dysput, kończących się naturalnie na niczem, — bo lubię bardzo słuchać Stacha, kiedy mówi w zapale, a tę lub inną rolę przyjmuję ot tak sobie, dla podtrzymania dyskursu, stosownie do tego, z jakiej on beczki zacznie. On wie naturalnie, co sądzić o stałości mych przekonań, bo mu sam zawsze przy końcu dysputy powtarzam, żem mu przeczył tylko dla zasady przeczenia, byle i na słońcu znaleźć plamę, i że nie wierzę zarówno temu, co on mówi, jak i temu, co sam wygłaszam. To nam jednak nie przeszkadza zupełnie na drugi dzień wszcząć podobnego sporu i obadwaj w zapale (chociaż ja unoszę się rzadziej)

prawie że wierzymy we własne słowa. Chętnie prowadzę z nim te dysputy—raz dlatego, że nie mogę znieść tej ciasnoty jego poglądów i bezwzględnej wiary w siebie, i ciągle pracuję nad rozszerzeniem jego punktu widzenia rzeczy, — a po drugie, że lubię niesłychanie wszelkie subtelności i analizę odcieni myśli, a już pod tym względem dochodzę nieraz do artyzmu, i każda dysputa zaostrza mi tylko język i myśl. Ostatecznie skutek w zupełności nie odpowiada zamiarom. Punkt widzenia rzeczy u Stacha nietylko się nie rozszerza, ale, przeciwnie, kurczy coraz bardziej, a ja znów, wbrew jego pragnieniom, nietylko się nie wciskam do jego klatki przekonań, ale coraz więcej rozprzestrzeniam swoje stanowisko obserwacyjne. Stąpamy po wprost odwrotnych drogach. On się zacieśnia i potęguje wiarę w swoje *idées fixes,* ja się rozszerzam i uczę obalać wszystko, choćby ot tak sobie, aby dokazać sztuki.

W przekonaniach więc naszych niema żadnej zgody. Ale kto wie, czy i w usposobieniach naszych niema większej różnicy. Ja jestem straszny fantastyk. Wiem o tem; ale cóż mi z tego, że wiem, kiedy to nie zdoła powstrzymać w niczem moich wybryków. Czy to choroba już taka, czy zbytnia wrażliwość nerwów, licho tam wie, — dość, że jestem nieraz wprost nieznośnym. Przychodzą na mnie takie chwile rozdrażnienia jakiegoś, że umyślnie, świadomie, staram się wkoło siebie robić piekło. A że

mieszkamy razem, on więc jest jedyną istotą, na którą mogę wyładować cały zapas złośliwości i sarkazmu. Cóż dziwnego, że mnie nieraz na czem świat stoi przeklina? Nazywa mię babą, histeryczką, idyotą, hipochondrykiem, roznerwowanym czortem i licho tam jeszcze wie jak, — ale to, niestety, nic a nic nie pomaga. Dawniej próbował w takich chwilach kłócić się ze mną i wymyślać; teraz jednak, jeśli mu nie zanadto dokuczę, nie odzywa się nic, tylko flegmatycznie słucha, albo się zabiera do czytania. Ja sam wiem o tem najlepiej, jakie ze mnie ziółko, i dlatego też nieraz staram się wszelkiemi sposobami wynagrodzić mu te zatrute chwile. Jestem wtedy, doprawdy, ogromnie dobry. Stach tylko czeka takiej chwili. Kładziemy się wówczas obadwaj na łóżku, bo to dla nas najdogodniejsze locum z całego mieszkania, i długo, długo w noc rozmawiamy, marząc o przyszłości, rozważając sprawy ludzkości całej i społeczeństwa. On marzy jakoś realniej, prawdopodobniej, — ja się zatapiam w jakieś rojenia mistyczno-idealne, niemożliwe do urzeczywistnienia. Ale dobrze nam tak razem i poczciwe, choć ułudne, mamy myśli. Tak nam noc nieraz do brzasku schodzi — i tak zasypiamy w ubraniu, ja zwykle z głową o jego piersi opartą.

Kiedym się pytał raz Stacha, dlaczego, pomimo mojego nieznośnego usposobienia, nie stara się zerwać ze mną stosunków, on mi odpo-

wiedział, że właśnie dla tych bezsennych nocy, strawionych na marzeniach. One mu wynagradzają wszystko. A i ja je kocham, te nasze noce romantyczne.

Od czasu do czasu gniewamy się na siebie po kilka dni nieraz. Naturalnie wina zawsze leży po mojej stronie: przyznaję się do tego bez żadnych zastrzeżeń. Utarczka najczęściej zaczyna się wieczorem. Wracam zły z lekcyj, zmordowany, rozdrażniony, przygnębiony do reszty niepogodą. Byle błahostka wywołuje prawdziwy atak. Ot, choćby klucza zapomniałem i muszę czekać kilka minut w sieni, póki Stach nie nadejdzie. Wina naturalnie tylko moja, — ale właśnie, że moja, właśnie, że do nikogo nie mogę mieć o to pretensyi, wywołuje już to we mnie wzburzenie. Szukam zaczepki i heca gotowa. Stach ogromnie zagniewany; ja się uspokajam w końcu, ale najczęściej za późno, kiedym mu już porządnie dojechał. Kładziemy się spać, nie mówiąc sobie dobranoc. Rano Stach już żałuje swojej porywczości i szuka zaczepki do pojednania; to znowu ja mam do niego pretensyę, że się mógł na mnie gniewać. Znów schodzi wieczór w milczeniu. Ale już na trzeci dzień strasznie nam jakoś głupio się robi. Ja nie zacznę nigdy pierwszy, Stach wie o tem i dlatego z góry już obmyśla sposoby pojednania. Ja już go znam tak dobrze, tak potrafiłem wystudyować tę, niebogatą zresztą w objawach naturę, że

z miny jego, z gestów, domyślam się, czego chce, lub co ma powiedzieć.

Chodzi zwykle w takich razach z kwadrans po pokoju, paląc papierosa, z ukosa spoglądając na mnie, jakby się prosząc, żebym się domyślił jego zamiarów i ułatwił zadanie.

Ale ja udaję, że nic nie widzę. Wtedy on podchodzi, bierze mię rękoma za głowę, wykręca do swej twarzy i mówi:

— No, słuchaj, Józik, nie bądź głupim... co tam... jesteś rozgrymaszony dzieciak; ja źle robię, że się unoszę... co tam... daj pyska.

Dajemy sobie pyska i gniew skończony. Ja się bardzo rozczulam, przyznaję do winy i znów nam wieczór i noc na marzeniach schodzi. A on to ogromnie lubi. Nieraz w nocy, kiedy nas bezsenność tłucze, on przychodzi do mego łóżka, na pogawędkę niby, ale w istocie żeby pomarzyć trochę. Nie zawsze jestem w usposobieniu do tego i zaczynam wtedy drwić z jego romantycznych zachcianek. A on się tego boi, boi się i wstydzi zarazem. Jest zawsze trzeźwym bardzo i chce za takiego uchodzić; jedne tylko te bezsenne noce są plamą na jego rozsądnem życiu, jak je sam nazywa. Gdym go się raz pytał, jak on może pogodzić tę trzeźwość życia z romantycznemi zachciankami, odpowiedział tylko:

— Ja wiem, ja wiem, że to strasznie głupio; cóż chcesz... to już widać w naturze mojej

leży: trudno mi się jeszcze pozbyć wszystkich nabytków przeszłości. Ale ja czuję, że to głupio, i będę się starał odzwyczaić.

Tego odzwyczajania się nie bardzo dostrzegam jakoś. Przeciwnie chyba...

On ma wszelkie warunki do zostania reformatorem jakim. Jego porywająca nieraz wymowa, zapał i wiara w to, co mówi, zjednywają mu wielu stronników. Przez kolegów jest nadzwyczajnie cenionym i uchodzi wśród nich za tęgą głowę. Jeden ja nie ulegam mu zupełnie i, o dziwo, dostrzegłem już dawno, że on się mnie jakby boi. W naszym stosunku nie on, lecz ja jestem panem. Jego najwznioślejsze wyrazy obijają się nieraz o mój upór, wygaduje na mnie głupstwa, złości się, ale zawsze moje jest na wierzchu. Nie mówię tu naturalnie o sferze przekonań, — gdyż tak daleko wpływ mój nie sięga, i nawet w głębi duszy przyznaję, że nie chciałbym go pozbawiać tych dogmatów, w jakie tak ślepo uwierzył,— ale w sferze czynów, codziennych spraw i objawów życia, ja zawsze nim powoduję.

Mówiłem już, że on mnie wyłącza z całego świata i pozwala być takim, jakim jestem. Widzę to doskonale, że on mię uważa jakby za dziecko, choć cudackie i fantastyczne, ale w gruncie niezłe, i patrzy na mnie jak na istotę jakąś zupełnie wyjątkową, do której w żaden sposób nie możnaby i nie należy stosować

ogólnych praw życia. Powiem wprost, jestem dla niego takim samym bożkiem, jak i dla Zosi. Poczuwa się do obowiązku opiekowania się mną i pielęgnowania, jakbym był jego synem i ojcem zarazem. Ja wiem o tem dobrze i nadużywam też często jego przywiązania. A i o tem wiem także, że mu niezmiernie chodzi o mój szacunek dla niego, i że pierwszą jego myślą po każdym postępku jest: co ja na to powiem. Zresztą wywdzięczam mu się tem samem, bo także się zawsze liczę z jego zdaniem; tylko, co prawda, dużo też liczę na jego wyrozumiałość, czasem aż nadto, zawsze pewien dobrego przyjęcia.

Takeśmy się już zżyli z sobą, że mimowoli, układając projekta życiowe, opieramy je na jednym, niezmiennym warunku—że zawsze mamy być razem. Teraz, dalibóg, nie wiem, czy ja pierwszy, czy on rzucił projekt wyjazdu za granicę po skończeniu uniwersytetu. Zresztą wszystko jedno. To wiem, że mamy wyjechać, a dokąd właściwie i po co, to już sprawa albo jego przekonań, albo mego widzimisię. Tak czy owak, jedziemy, bośmy sobie poprzysięgli celować bardzo wysoko. On już ma cel, idzie do niego wytrwale; ja może też we włóczędze życiowej wynajdę sobie cel jaki, i tak będziemy się piąć obadwaj.

Czy dojdziemy i dokąd dojdziemy,—któż wie? On nie wątpi, ja mam tylko jakieś instynkto-

wne poczucie, że iść trzeba, — i pójdę, — a los nam koniec pokaże.

Ach, życie, życie,— co ono z nas porobi? Takby się nieraz chciało podnieść rąbek tej zasłony, co nam przyszłe lata zasłania, żeby choć tyle ujrzeć, aby się przekonać, czy ta praca teraźniejsza jakiś owoc wyda. Doświadczenie uczy, że żadna chwila życia nie jest zupełnem ziszczeniem pokładanych w niej nadziei. Staramy się niby korzystać z doświadczenia, kurczymy się i ograniczamy w rojeniach, zdaje się, żeśmy już zniżyli do minimum skalę pragnień i ideałów, a jednak — życie nie ziszcza i tej drobnej cząsteczki.

*29 Lutego.*

Kuracya siłą woli zakończyła się fatalną klapą. Pozawczoraj zemdlałem na krześle i widocznie upadłem, bom się znalazł po ocknieniu na podłodze. Dziw wielki, żem głowy nie rozbił. Na szczęście nikt nie widział, bom, jak zwykle, był sam: inaczej byłby mi Stach nową awanturę wyprawił.

Widocznie zaszkodziło mi długie pisanie. Rzeczywiście przesadziłem troszkę: pisałem ze trzy godziny, w zapale nie czując zmęczenia. Potem wziąłem jakąś książkę, chcąc koniecznie wytrwać do końca na krześle. Ale już w czasie czytania czułem, że mi się w głowie coś dzi-

wnego wyrabia. Litery skakały mi przed oczami, wykręcały się jak węże—i, pomimo wysiłków, nic dojrzeć nie mogłem. Potem przed oczami rozparła się jakaś czarność, w głowie szum straszny, jakby kto trzepał dywany; sufit pokrył się cały świecącemi plamami, które, rozpryskując się na wszystkie strony, zasypały cały pokój jakby paciorkami stalowemi—i już nie czułem nic więcej.

Ledwiem się potem przyczołgał do łóżka, zły strasznie na siebie za swą bezsilność. Wczoraj musiałem cały dzień leżeć w łóżku, a Stach i Zosia nie odstępowali mnie ani na chwilę, korzystając z niedzieli. Trochę mi to było nie narękę, bom nie miał humoru, a poczuwałem się do obowiązku podtrzymywania rozmowy. Co prawda, nie wiele się potrzebowałem wysilać, bo oni zawsze mają wiele do mówienia z sobą.

Albo ja się nie znam na niczem, albo ta para kocha się wzajemnie, nie wiele sobie z tego zdając sprawy. Co do Stacha, jestem tego pewny, co do Zosi—więcej, niż przypuszczam.

A no, znają się od lat pięciu, to chyba było dość czasu nawet na zakochanie. Pamiętam, byliśmy obadwaj jeszcze w siódmej klasie, kiedym go po raz pierwszy do domu ciotki wprowadził. Zosia była wtedy strasznym jeszcze smykiem. Nikomu ani się śniło uważać ją za coś więcej, jak za dziecko. Dopiero Stach, nie wiem, czy

przez brak obycia się z tego rodzaju istotkami, czy też z wrodzonej mu powagi, zaczął ją traktować jak dorosłą pannę. Naturalnie nie mogło być jeszcze mowy o jakichś głębszych uczuciach. Lubili się tylko bardzo,— Stach ją, jako moję siostrę,—ona jego, jako mego przyjaciela. W ten sposób przeze mnie nawiązała się ta niteczka wzajemnej sympatyi. Lata szły, stosunki nasze zacieśniały się coraz bardziej, a więc i z tej sympatyi musiało się coś wykluć, zwłaszcza, że domatorskie więcej usposobienie Stacha, jego niechęć do wszelkich nowych znajomości, nie dawały mu sposobności zawiązywania innych stosunków. Mogę niemal powiedzieć, że ją zna pierwszą i ostatnią. A Zosia? To biedactwo jeszcze bardziej odcięte od świata. Zmuszona teraz mieszkać sama, przy obcych ludziach, tem więcej nudzić się musi i tęsknić za czemś. On jeden ze mną bywa u niej, widują się po kilka razy na tydzień, a już w niedzielę każdą bezwarunkowo, kiedy do niej chodzimy posłuchać muzyki,— to i nic zadziwiającego, że go pokochać musiała. Ona sama jeszcze o tem nie wie, i ręczę, że się nad tem nie zastanawiała ani razu, ale bezwiednie lgnie do niego i nawet się z tem nie kryje, że za nim tęskni.

Nie jest to żadna miłość gwałtowna, namiętna, z wybuchami. Płynie ona u nich tak spokojnie, tak miarowo, że się jej nawet nie domyślają oboje. Ja nie tak kochałem... Ale...

Stach jej wyjaśnia swoje teorye społeczne, starając się ją nawrócić na swoję wiarę. Ona go słucha z namaszczeniem wielkiem, naturalnie nie wiele rozumiejąc, co mogę wywnioskować z jej strasznie naiwnych odpowiedzi. Śmiejemy się z tego często, a Stachowi to się niezmiernie podoba. Sądzę, że gdyby jej kiedy przez noc garb wyrósł na plecach, takżeby go nim zachwycić zdołała.

Zosia się wstydzi trochę swego nieuctwa, i kiedy zostajemy sam na sam, prosi mię zawsze o wyjaśnienie rozmaitych, ciemnych dla niej wyrażeń Stacha. Pozawczoraj pytała mię, co znaczy indeterminizm. Ona go uważa za tak strasznie mądrego, że już mędrszym od niego tylko ja być mogę, nikt więcej w świecie.

Czasem zrzędzę na Stacha, że jej głupstwami nabija niepotrzebnie głowę, ale ona go broni, utrzymując, że ją wszystko bardzo a bardzo zajmuje. Biedactwo na swój sposób pragnie mu się przypodobać; tylko on nie bardzo się potrafi poznać na tem. Muzykę niby lubi, choć teoretycznie odrzuca, jako niepotrzebny zbytek dla nerwów. Zosia jednak jest dla niego, tak jak i ja, wyjątkiem z ogólnej reguły. Ona grać może bez narażenia się jego teoryom. Sam jej nawet nuty znosi, a ja się uśmiecham po cichu.

Dzieci, dzieci!

Strasznie mi niewygodnie pisać dzisiaj,—raz, że ciemno, bo łóżko moje stoi dosyć daleko od okna, a po drugie, że taka półsiedząca, półleżą-

ca pozycya, w jakiej się znajduję, nie zupełnie jest odpowiednią do pisania. Ale cóż robić przez dzień cały? Doprawdy, zaczynam się już nudzić porządnie. Stach mi zazdrości tych chwil wywczasu, ale ciekaw jestem, coby robił, na mojem będąc miejscu.

Całe jeszcze szczęście, że ten starowina, Hofmann, zgodził się przychodzić do mnie na lekcye. Przynajmniej z nim godzina schodzi jako tako. Dziś mnie pochwalił za dobre postępy i starał się wmówić we mnie nadzieję, że za rok będę mówił po niemiecku jak rodowity Berlińczyk. Niestety, ogromnie o tem wątpię. Co za nieznośny język! Wymawiają nam, Polakom, że się chętniej uczymy francuskiego, a choćby angielskiego, niż niemieckiego. Ależ, słowo daję, ten nasz wstręt do niemczyzny ma swoje podstawy. Pomijając wszelkie kwestye sympatyi lub antypatyi narodowej,—w samym języku znajdziemy usprawiedliwiające powody. Jakaż zawiła budowa zdań! Ten zwyczaj stawiania orzeczeń na samym końcu zdań zniewala do trzymania umysłu w natężeniu aż do ostatniego wyrazu frazesu, co jeszcze przy niezwykłej długości okresów jest szalenie nużącem. Trzeba od dziecka gimnastykować umysł, żeby go uczynić wytrzymałym do takiej ciągłości myśli. Sądzę, że sam już język ze swemi piętrowemi budowlami zaprawia mózgi niemieckie do tych nieskończenie długich, szalenie konsekwentnych spekulacyj,

jakiemi się popisują w filozofii, — jeżeli naturalnie nie dzieje się przeciwnie, t. j., że język jest odbiciem ich spekulacyjnych umysłów. Tak czy owak, wszystko jedno; jądro kwestyi pozostaje tem samem. Czy mowa wysubtelniła umysł ludzki, jak chcą jedni, czy umysł rozwinął mowę, jak wnioskują drudzy, — zawsze łączność między niemi być musi.

Ach, Boże! co to za galimatias w tej filozofii! I jak tu sobie w tym chaosie może dać radę zwykły śmiertelnik! Chyba, jak utrzymuje Stach, wcale się temi rzeczami nie zajmować. Gdybyż tylko można było!

Stach mi naznosił mnóstwo książek do czytania, żebym się nie nudził. Ale, niestety, nie mogę czytać długo. Dawniej potrafiłem całe noce spędzać na czytaniu, pomimo znużenia i senności; teraz nawet rzeczy lżejsze, jak Lombroso lub Mosso, nużą mię szybko. Trzeba się chyba będzie zabrać do beletrystyki. Od tygodnia kładę Stachowi w głowę, żeby mi się skąd o jaką powieść postarał. A ja w dodatku tak przepadam za literaturą! Gdyby nie jakiś rozkaz moralny, który mi mówi ciągle: „ucz się i pracuj nad sobą,“ wszystkie wolne chwile spędzałbym na czytaniu. Może kiedyś, po latach, będę zdolen dogodzić tej swojej „fantazyi.“

A nikt nawet nie wie, że literatura o mały włos nie została zbogaconą nową znakomitością — w mojej osobie. Ach, Boże! i dobrze, że nikt

nie wie: wszystko potrafię znieść, prócz śmieszności. Bo i ja przechodziłem tę ospę autorstwa.

Byłem w ósmej klasie, kiedy napisałem coś pośredniego między poematem, nowelą, szkicem, obrazkiem... jednem słowem coś, czego sam nie potrafiłbym określić. Treści już nie pamiętam dobrze teraz. Pisałem to nocami, w tak ścisłej tajemnicy, jakbym przygotowywał co najmniej zbrodniczy zamiar wysadzenia Europy w powietrze. Po skończeniu, z biciem serca posłałem mój utwór do jakiejś redakcyi. Niestety! zostałem ugodzony śmiertelnie: w „odpowiedziach od redakcyi“ wyczytałem najwyraźniej wydrukowane: „nie rozumiemy, o co szan. panu idzie.“ Był to cios pierwszy. Nie zrażony jednak jeszcze, przeciwnie, jak Byron, podniecony taką najwidoczniejszą niesprawiedliwością, zabrałem się do pióra i napisałem znowu jakąś wspaniałą niedorzeczność.

Boże!... co oni mi odpowiedzieli!... co oni mi odpowiedzieli!...

Do dziś dnia nie mogę o tem pomyśleć bez dreszczów, i wcale nie rozkosznych.

Lekarstwo jednak poskutkowało. Twórczość moja dostala jakby pałką w łeb i zanikla nagle. Już się chyba nigdy nie puszczę na taki eksperyment.

Ale dobrze, że to już tak strasznie dawno. Wreszcie nikt, literalnie nikt, o tem nie wie.

Zosia moja kochana dziś podwójne lekcye odrabia. Chce sobie na jutrzejszy wieczór wytargować kilka godzin i razem z nami je spędzić, żeby wesoło karnawał zakończyć. Zakończyć? czyż on się dla niej zaczyna kiedy?

Jak to dobrze dla niej, że ona nie czuje całej nędzy swej egzystencyi! Ona i z tego rada, że sobie kilka godzin „wytarguje" dzisiejszą zdwojoną pracą.

A gdzież użycie? spokój? wytchnienie?

*1 Marca.*

Jednak ta rekonwalescencya postępuje strasznie powoli,—a jeżeli mam się przyznać szczerze, nie postępuje wcale. Wobec Zosi i Stacha brawuję trochę, żeby ich nie martwić bezpotrzebnie, ale sam czuję, że nie tylko mi teraz nie lepiej, ale od jakiego tygodnia jakby siły tracę. Czy to było zapalenie płuc, czy nie było, mniejsza z tem, skoro minęło; ale dlaczegóż to się wszystko tak wlecze? Z jakimś dziwnym niepokojem badam się co rano, czy mi choć odrobiny sił nie przybywa,—a tu nic i nic. Pierwsze gwałtowne cierpienia ustąpiły już prawie, ale ten dojmujący ból w piersiach i kaszel męczący dotąd mi nie dają spokoju. Co to ma być? Czyżbym się zaziębiał ciągle? Wczoraj, wstydząc się trochę, prosiłem Stacha, żeby drzwi obił krajką. Może to stamtąd wieje? Ja nie czuję tego, ale może?— Bierz licho ceremonie i przechwałki, lepiej się

zabezpieczyć nawet tam, gdzie niebezpieczeństwa niema, bo mi się to już wszystko dyabelnie przykrzyć zaczyna.

Dziś, przed godziną, czując się niby lepiej trochę, prosiłem starego Hofmanna, żeby mi podał rękę i poprowadził po pokoju. Przeszedłem dwa razy, i to z ogromnym wysiłkiem, i musiałem na swój sztuczny fotel wracać. Nie usiadłem, tylko padłem po prostu. Nogi zupełnie odmawiały mi posłuszeństwa: jedna w prawo, druga w lewo, a ja w tył albo na przód. Poczciwy starowina musiał się porządnie namęczyć. Krzyczał wprawdzie: „noch ein wenig, noch ein wenig,“ ale moje nieszczęsne nogi krzyczały także: „genug.“

Boże mój drogi, kiedy ja tych sił choć odrobinę nabiorę? Głupstwo już kaszel i piersi,— zawsze mię bolały, — aby tylko jako tako chodzić można. Te pieniądze wściekają się po prostu. Kilka dni temu Stach odniósł mi pensyę od Putowskich i Kotowiczów, a już nic niema. I jeszcze jak się moi chlebodawcy po gentelmeńsku znaleźli! nie wytrącili ostatniego tygodnia, któregom nie zdążył dodreptać. Chciałem sobie sam wytrącić i przewyżkę odesłać, ale mi Stach odradził, mówiąc, że przecież, jak wstanę, mogę je odrobić z procentem nawet,— a teraz pieniądze ogromnie potrzebne. Może i racya. Wreszcie mniejsza z tem,— w każdym razie nie ucieckną.

Szczęście, że madame Sawicka i Hofmann, zapłaceni za Luty. Skąd wezmę na Marzec, sam nie wiem. Trzeba będzie znów mój i Stacha zegarek na naukę hebrajszczyzny do lombardu puścić. Ach, jakże mi się to wszystko przyjadło! Od lat tylu ciągłe lawirowanie między pierwszym i pierwszym każdego miesiąca, ciągłe łamańce z debet i credit, ustawiczna walka z dziurami, szparami, chłodem i głodem, kłopotanie się o to, skąd wziąć, żeby zapchać jaką lukę,—oto główna treść mego życia.

Il faut que jeunesse se passe. U mnie też mija, mija, ucieka prawie, a nie wiadomo za czem i po co?

Ta pani Sawicka to sobie wcale dobra kobiecina. Gdyby miała o jakie 25 lat mniej, postarałbym się korzystać z nawiązujących się stosunków sympatyi. Tylko jeżeli zawsze była tak straszliwie cnotliwą i podejrzliwą, jak teraz, nie wielebym u niej wskórał. Wprost paradną była w chwili umowy naszej przed rokiem, kiedyśmy od niej ten pokój wynajmowali. Jak ona się bała, żeby czasem jakich nicponiów za sublokatorównie dostać! Ile tam było zastrzeżeń, pytań, warunków—tegoby na skórze wołowej nie spisał. Pękaliśmy ze śmiechu ze Stachem, co ją jeszcze ostrożniejszą czyniło, tak się gorszyła naszem niepoważnem zachowaniem się w chwili tak ważnej umowy. Widziałem, że miała szczery zamiar cofnąć swą decyzyę; ale że nam się i po-

kój dość podobał, i świetny punkt dla naszych lekcyj, jakim jest Chmielna ulica, zachęcał nas również,— takeśmy więc babinę zakrzyczeli, zagadali, obiecując wypełnić wszystkie zobowiązania, nawet co do „tych panienek,“ że w końcu uległa, głównie olśniona moją elokwencyą. Zabarykadowała tylko siennikiem i szafą drzwi, łączące jej salon z naszym pokojem: to nam ostatecznie dogodność jedynie zrobiło, bo się nie potrzebujemy w niczem krępować.

Pokój mamy ani duży, ani mały, taki sobie umiarkowanej wielkości, o jednem oknie na wschód, z widokiem na dachy i podwórza; tylko wysoko dyabelnie, trzecie piętro po dosyć torturalnych schodach,—co mnie szczególniej nie zbytnio się podoba. Ale cóż robić? Znam już na pamięć wszystkie sęki i szpary w każdym schodzie.

Od początku choroby stołuję się u pani Sawickiej. Poczciwa babina sama podobno robi mi befsztyki i przysyła takie porcye wszystkiego, jakby mnie chciała jedzeniem wyleczyć z wszelkich chorób, które przebywałem i przebywać będę. Niestety, zasmucam ją na śmierć swoim brakiem apetytu: Łucka odnosi nieraz nazad wszystko nietknięte.

Dzięki p. Sawickiej, od jutra będę miał fotel. Kiedym dziś rano zadzwonił na Łuckę, żeby sprzątnęła samowar, ku wielkiemu zdziwieniu ujrzałem we drzwiach p. Sawicką, która z po-

wodu chwilowej nieobecności Łucki przyszła sama dowiedzieć się, czego potrzebuję. Przeprosiłem ją bardzo i poprosiłem dalej. Weszła, jak zwykle, dosyć podejrzliwie, bojąc się zapewne jakiej zasadzki;— alem ją wprędce udobruchał przesadzoną nieco uprzejmością. Zabawiła z pół godziny, gawędząc zawzięcie. Widząc moję niewygodną pozycyę na łóżku, sama się wyrwała z projektem przysłania mi fotelu. Ma tam podobno jakiś stary grat, który stoi bez użytku. Wymawiałem się trochę, ale w gruncie rad byłem bardzo. Na krześle siedzieć jeszcze nie mogę, a w łóżku już wstyd jakoś. Może tym fotelem wystraszę te resztki choroby.

No, ale zdaje się, że to już obiad się zbliża. Jakoś na pisaniu czas mi szybciej umyka, a skołatana głowa wypoczywa.

Ale po co ja to wszystko piszę?...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Przed godziną otrzymałem list od Amelki. Przedewszystkiem ucieszyło mię to, że ona nic nie wie o mojej chorobie. Zosia dotrzymała słowa. Na co się ma martwić na próżno? Mnie tem nie pomoże, a sama mogłaby się jeszcze rozchorować z niepokoju, bo nas bardzo kocha. Chciałaby pewnie przyjeżdżać, doglądać mię w chorobie, a ja tu przecież mam zamiar wyzdrowieć wkrótce.

Nawet i potem nic jej pisać nie będę. Niech się nie martwi choćby minionym smutkiem.

Przykro mi się zrobiło nad wyraz, kiedym wyczytał w jej liście te słowa: „Kiedy mróz większy na dworze, ja drżę cała na wspomnienie o Tobie i Zosi. Ona nie ma szuby, twój szynel także wiatrem podszyty,—a tymczasem musicie cały dzień biegać po lekcyach. Jużbym wolała, żeby mnie było zimno i niewygodnie, abym tylko mogła być o was spokojną. Mój Józieczku, mój złoty, błagam Cię na wszystko, oszczędzaj się, wystrzegaj zaziębienia. Tyś taki wątły, lada co Ci szkodzi. Od śmierci rodziców ja się już tak wszystkiego boję, że nawet może przesadzam, ale Ty się pilnuj, najdroższy, boś Ty nasza jedyna nadzieja, podpora.“

O, moja Amelko! gdybyś Ty wiedziała, jak kruchą moralnie jest ta „podpora,“ możebyś już nigdy słów tych nie powtórzyła.

O sobie, jak zwykle, nic prawie nie pisze. Czuć jednak jakąś gorycz, jakieś ciche przygnębienie z tego listu. Nie skarży się ani słowem,—przeciwnie, wysila się, ile możności, udawać spokój, a nawet humor; ale poprzez każde słowo przebija jakby rozczarowanie do życia, przymusowe wyrzeczenie się wszelkich nadziei lepszej przyszłości. Zosię zwieść łatwo, bo ona wszystko literalnie zawsze bierze, — ale ja czytam pomiędzy wierszami. Nieszczęśliwa ona.

Pisze jeszcze między innemi, że już do lata załatwi się ze wszystkiemi długami po matce, i że będzie mogła i nam przyjść z pomocą, by-

le tylko nie kłopotać się tak ciągle o nasze zdrowie. Jaka ona naiwna! Czyż przypuszcza choćby na chwilę, że ja się na to zgodzę? Pracowała lat tyle, nie myśląc zupełnie o sobie, a teraz, kiedy nareszcie dobija się końca, miałaby nowe ciężary na siebie nakładać? Przecież i mnie będzie coraz lepiej, — w ostateczności wyrzeknę się i projektu wyjazdu za granicę, a nikomu ciężarem nie będę. Zagranica będzie zagranicą, projekty zostaną projektami, a do pracy się wezmę. Iluż to już marzeń i rojeń trzeba się było wyrzekać! Nawet przyzwyczaić się było można.

Wieczór już prawie. Tylko co patrzeć Stacha i Zosi.

Będziemy się bawili w karnawał...

Ha, trudno! każdy, jak może.

*2 Marca.*

Wieczór wczorajszy spędziliśmy dosyć znośnie. Zośka dokazywała jak łobuz, Stach zawiesił na kilka godzin swoje ponure poglądy na teraźniejszość i różowe na przyszłość, a ja dostrajałem się do nich, jak mogłem. Dopomagała mi w tem gorączka, która wieczorami dochodzi do 39 stopni.

Nigdy nie doświadczyłem na sobie takiej zmienności humoru—jak teraz. Byłem, co prawda, zawsze dosyć fantastycznym, nawet dziwacznym w swej zbytniej drażliwości, — ale wtedy

okres humoru lub niehumoru trwał przynajmniej dni kilka, choćby dzień cały. Wstawałem, jak mówi Stach, lewym lub prawym bokiem—i już do wieczora byłem krzywym albo prostym. Teraz zupełnie co innego. Dziesięć razy na dzień zmienia się mój nastrój. Po wesołości następuje apatya, po apatyi podniecenie, potem smutek, przygnębienie, znów wesołość i t. d. da capo. I to bez żadnych usprawiedliwiających powodów,—ot tak sobie—z niczego. Myśl, skacząc z przedmiotu na przedmiot, poddaje się biernie chwilowym wrażeniom i pociąga za sobą duszę, zabarwiając ją odpowiednio. I co dziwniejsze, że świadomość moja nic nie traci na swej sile: kontroluje, jak dawniej, wrażenia, nastrój, myśli, i daje zupełnie wierne odbicie wnętrza duszy. Ale tu się kończy jej rola. Stoi, jak niemy świadek, wypatruje wszystko, nawet gani lub chwali,—ale jakby sama dla siebie, nie wysyłając rozkazów. Mam od niej carte-blanche zupełną: mogę być nie takim, jakim być powinienem lub chciałbym,—ale jakim mię zrobi wpływ zewnętrzny.

Dziś bardziej, niż kiedykolwiek, czuję się biernym na wszystko; a że nie chcę być dowolną igraszką zmiennego humoru, zasiadłem więc do pisania i mam zamiar pisać długo, tembardziej, żem kilka godzin spędził na refleksyach, z których wyciąg chciałbym sobie zachować. Dziś rano wpadła do mnie na chwilkę Zosia,

powracając z kościoła. Wstala umyślnie wcześniej, żeby być na nabożeństwie popielcowem. Za jakie grzechy, za jakie nadużycia rozkoszy świata posypał jej ksiądz głowę popiołem,—sam nie wiem. Ale to biedactwo czuło się w obowiązku uczestniczenia w tym pokutniczym obrzędzie. Lecz mniejsza z tem: to kwestya jej wiary; a dobrze, że ją ma. Zosia, jak nie ma samowiedzy swego życiowego położenia, tak też i nie ma jej względem swej wiary. To ją właśnie chroni od wszelkiej przesady na punkcie religijnym, bo tylko samowiedza swej wiary i pobożności popycha umysł na drogę fanatyzmu i bigoteryi. Wiara jej płynie wprost z duszy, tak, jak myśli z jej głowy, i Zosi ani przez myśl nie przejdzie możliwość niewierzenia. Jeżeli słyszała co o ludziach niewierzących, nie może ich sobie na pewno wyobrazić jako istoty zwykłe, co dzień spotykane. Są oni dla niej jakby ludźmi innych planet, z innemi nosami, z inną głową, z innemi mózgami. Sądzę, iż, gdybym jej pokazał jednego z takich niewierzących, przypatrywalaby mu się ciekawie, a potem bylaby zdziwiona, że tak jak drudzy wygląda. Dlatego też ani przypuścić jest zdolną, że Stach i ja należymy właśnie do tej kategoryi niewierzących. Ja jej naturalnie nigdy nie mówilem o tem,—raz, że nie chcialbym jej zasmucać,—a po drugie, że kwestya ta była mi dotychczas dosyć obojętną. Jakieby wrażenie wywarła na niej taka wiado-

mość, nie mogę przesądzać. Alboby sama straciła wiarę, poddając się biernie wpływowi, alboby po raz pierwszy doznała druzgocącego ciosu.

A że nic o tem nie wie, przekonałem się dziś rano. Wstąpiła do mnie dlatego jedynie, żeby mi przynieść trochę popiołu, zabranego w książkę do nabożeństwa. Nastrajając się poważnie, użalała się nade mną, że nawet do kościoła z powodu choroby pójść nie mogę. Ja jej nie wyprowadzałem z błędu, podziękowałem za pamięć i za ten pacierz, który za mnie zmówiła. Popiół pozostał.

Teraz ten popiół leży przede mną, a ja, patrząc nań, pytam sam siebie: gdzie się podziała wiara moja?

Żebyż choć taki, jak ten popiół, ślad z niej pozostał!

Nie wiem, czy jej żałuję,—nie wiem, czyby mi było z nią lepiej,—ale to wiem, że tak, jak ja ją straciłem, nie powinno się jej tracić.

Bo nie rzuciłem wiary, lecz straciłem ją, a to wielka bardzo różnica.

Rzuca się rzecz niepotrzebną, starą, zużytą, rzuca się wtedy, kiedy nam o nią nie idzie, bośmy się w nową zaopatrzyć potrafili,— a traci się lub gubi zawsze coś jeszcze potrzebnego, po czem zostaje jakaś pustka.

We mnie także pustka teraz.

Kiedy ona powstała, po czem, w jakich okolicznościach, nie mógłbym tego określić. Są lu-

dzie, których ta przełomowa chwila zaskakuje z nienacka, po przeczytaniu jakiegoś dzieła, lub po bezsennej nocy, strawionej na rozmyślaniach. We mnie nic podobnego nie zaszło. Dawnych wierzeń pozbywałem się potrochu, niepostrzeżenie,—rzekłbym—bezświadomie. Każde naukowe prawo natury, każdy systemat filozoficzny, chociem go nie przyjmował w posiadanie, ujmowały ze mnie jakąś dawną cząsteczkę, i tak po odrobinie wyciekło gdzieś wszystko—bez walki, bez żalu, bez dokładnego pojęcia o tem, że coś tracę i co tracę.

Jeszcze raz powtarzam — wiary tej ja może nie żałuję teraz, ale to czuję, że nie tak ją tracić należy.

Tu powinna być walka, opór, zaciętość, tu powinna być świadomość tego, co się zwalą, dlaczego i czem się zastępuje obalone bożyszcza.

Ja nic nie obalałem, nic nie odrzucałem, lecz tylko pogubiłem wszystko,—no i nic nie mam.

Nie ja jeden *tak* tracę wiarę. My ją niemal wszyscy gubimy w ten sposób, nieopatrznie rozrzucając gdzieś po całym świecie po okruszynie, po strzępku, żeby potem mieć przyjemność powiedzenia sobie: „jesteśmy zwierzęta."

Ulegamy jednemu i temu samemu procesowi psychicznemu, kiedy naiwnie pojmowany krytycyzm olśniewa nam mózgi. Tak i ze mną było.

Początkowe wychowanie odebrałem zupełnie religijne, to też do 16-go roku życia utrzymałem

wszystkie nabytki epoki dziecińctwa. Wiara była dla mnie wszystkiem: przez jej pryzmat widziałem świat i życie, ona była jedynem światłem, rozpraszającem mroki zagadek, jedyną spójnią, łączącą w całkowity systemat wszystkie pojęcia o wszechświecie. Światopogląd ten, choć mylny, wystarczał mi zupełnie, i doprawdy byłem wówczas szczęśliwym, choć nie czułem tego.

Minęły jednak te lata. Zaczynałem obojętnieć na siłę tego światła, które, bądź-co-bądź i jakbądź, oświetlało mi przecież wszystko. Obcowanie z kolegami, chęć dostrojenia się do ich kamertonu moralnego, podkopywały coraz bardziej ten gmach, zbudowany z wierzeń. Dziecko przetwarzało się w mężczyznę, a przecież mężczyźnie nie do twarzy modlitwa! Zaczynałem się wstydzić swych zacofanych pojęć. Było to rozluźnienie się wiązań budowli.

Potem należało jakiemikolwiek czynami zaświadczyć o liberalizmie poglądów, choćby wbrew własnemu sumieniu. O, bom ja jeszcze wierzył wówczas! Może nie z taką siłą, nie z taką gorliwością, jak dawniej, alem wierzył jeszcze. Odrzuciłem tylko wszystkie zewnętrzne formy i objawy—z początku przez chęć dostosowania się do ogółu młodzieży, a potem z zasady. Nic łatwiejszego, jak wynaleźć zasadę, kiedy chodzi o wytłómaczenie przed samym sobą swych czynów. Jest pewna epoka w życiu, kiedy nie czyny z zasad wypływają, lecz zasady z czynów. A wtedy po-

trzebowałem jeszcze takich zasłonek, poza któremi możnaby się było schronić przed własnem sumieniem. Ani słyszałem wówczas o istnieniu sofistów, a już tworzyłem sofizmaty.

Formy! Cóż to są formy? To maszynerya, czyniąca z nas manekiny, to nałóg bezsensowy, to próżnia, poza którą nic niema.

Wszakże to nie trudno wpaść na taki pomysł i po raz tysiączny odkryć Amerykę. A jak to olśniewa! Kartezyusz po swojem: „myślę, więc jestem" nie był tak dumnym, jak ja po wymyśleniu tej wielkiej prawdy.

Trudno mi się jeszcze było zdobyć na wyższy stopień rozumowania, żeby uznać w formach takie niezbędne ciało dla myśli, jakiem jest organizm dla duszy.

Wreszcie—to tak przyjemnie coś burzyć! to taka rozkosz myśleć o wywróceniu świata do góry nogami.

Wszakże i ludzkość w zaraniu swego istnienia zdruzgotała szczęście jakieś, będące jej udziałem. Wszystkie filozofie Wschodu, wszystkie religie o tem tylko mówią. I czy to będzie upostaciowane w grzechu Adama i Ewy, czy ubarwione wszystkiemi kolorami symbolicznej poezyi Wschodu, jako mit lub systemat filozoficzny, zawsze się tam jakiegoś błędu, jakiejś ruiny dawnego szczęścia doszukamy. Ktoś zbłądził, my za to cierpimy,— czyż nie tak każda religia istnienie zła i nędzy na świecie usprawiedliwia?

Lecz odbiegłem od rzeczy.

Burzyć coś, kiedy zbudować nic jeszcze nie jesteśmy zdolni,—to jedyna namiętność młodości,—a kto wie, czy i nie życia całego. Aby tylko wplątać i naszą niteczkę do ogólnej tkaniny.

Więc burzyłem: z początku niewprawnie, drobnostki, potem całe kawały duszy, potem nicowałem życie, aż w końcu i świat wszystek poruszyć chciałbym z posad. To szybko idzie. Ani się opatrzysz, jak gruzy polecą.

Zdejmować czapkę przed kościołem? Po co? na co? Wszakże Bóg jest wszędzie.

Nic nad to naturalniejszego. No—i nie zdejmowałem czapki.

Pacierz mówić? modlić się? Wszakże Bóg wie najtajniejsze myśli nasze. Myślą, czynami modlić się trzeba, nie słowy i biciem się w piersi.

Prawda! — nie modliłem się już więcej.

Pościć? chodzić do kościoła? do spowiedzi? Ależ głupstwo! Nikt prawdziwie inteligentny, a w dodatku mężczyzna, tego nie robi.

I to poszło.

Liść za liściem, gałązka za gałązką, konar za konarem, opadało wszystko z tego drzewa, wyrosłego na gruncie dzieciństwa, hodowanego kołysankami matki i bajkami nianiek.

Opadło wszystko, jakby wichrem zwiał.

Pozostały jeszcze dogmaty. I na nie przyszła kolej, chociaż później znacznie. Ażeby dogmat

zburzyć, trzeba już nielada dzioba i zaostrzonych pazurów.

Ale na cóż doświadczenie, na cóż wprawa w burzeniu?

I na to czas nadszedł.

Przedtem jednak miałem jednę chwilę nagłego powrotu do wiary i do całej dawnej naiwności.

Teraz i śmiech mię pusty porywa, i wstyd mi trochę tej kartki życia.

Był to nagły fajerwerk przygasających szczątków, ostatnie nawiedziny bezpowrotnie minionych chwil błogiej, dziecięcej naiwności.

Kończyłem 6-tą klasę. Bieda, chłód, praca, zanadto mi dokuczały, ażebym mógł z lekkiem sercem przedłużać sobie te dnie męczarni. A tu jeszcze w najlepszym razie całe 2 lata pozostawały. Drżałem na samą myśl, że mogę się zatrzymać na drugi rok w tej samej klasie. Rok cały zmarnować! jeszcze rok cały dodać do tych lat strasznych! Tak mi już dokuczyła ta walka z nędzą...

Łacina nie dawała mi spokoju. Kułem wszystkie wyjątki, układałem w mózgu wszystkie wypadki użycia *quin* i *ut*, — a jednak nie szło. Wreszcie—cóż znaczy nauka w godzinach, kradzionych nocy, po dniu pracy na korepetycyach, często przy pustym żołądku?

Na marne szła praca.

Zbliżał się dzień egzaminu. Kilka nocy spędziłem nad Cyceronem i gramatyką. Ze znużenia zasypiałem nad książką, choć co chwila trzeźwiłem się wodą sodową, przykładając usta do samego kranu, żeby najmniejszej cząstki orzeźwiającego gazu nie stracić. A syfon wody 20 groszy kosztował...

Nie szło jednakże. Taką już widać miałem tępą głowę do łaciny.

Aż nadeszła wreszcie ostatnia noc. Sen mi oczy zasłaniał, głowa ze znużenia opadała ciągle na książkę,—siedziałem jednak noc całą.

To pamiętna noc dla mnie, boleśnie pamiętna.

Dla oszczędności nafty, przyćmiona lampa słabo tylko oświecała pokój. Traciłem nieraz świadomość czasu i miejsca, a myśl, odrywając się od Cycerona, który leżał przede mną, ciągle gdzieś ulatywała w przestrzenie. Majaczyłem i zasypiałem. Myślałem chwilami o innych ludziach, choćby o uczniach moich, i ciągle się z nimi zestawiałem.

— Ot, oni szczęśliwi. O każdym z nich ktoś pamięta, troszczy się, opiekuje, a ja tylko między nimi jestem sam jeden, jak palec, rzucony w świat, na walki i gorycze. Nikt się mną nie interesuje, nikt ręki pomocnej nie poda, muszę sam jeden o własnych siłach dobijać się chleba kawałka i jeszcze innym dopomódz. I to sam, sam jeden, bez ręki bratniej, bez niczyjego serca, bez...

Tak sobie myślałem.

Brzask już był na niebie, wschodni skrawek horyzontu zaróżowił się i ział światłością. Cały świat zabarwił się błękitem i tonął w ogólnym oceanie dziwnej błogości nieba.

Zgasiłem światło.

Cały pokój zaczął nasiąkać tą atmosferą niebieską, jaka wszechświat zatapiała. Czułem niebo dokoła. Błękit wszechoceanu zaczął mi się wdzierać w mózg, w duszę, i napełnił światłością i upojeniem. Roztapiałem się w tej niebiańskości, anielała mi dusza—i byłem w niebie.....

W niebie? Wszakże tam Bóg panem! Czułem Go, widziałem niemal.

On był wielki, potężny, jedną ręką kierował ruchem wszechświata, drugą sypał dobrodziejstwa i łaski.

Takim Go widziałem, takim mieć Go chciałem, takim mię Go widzieć nauczono...

Na kolana!

Zgiąłem kolana.

Zacząłem się modlić...

— Tyś jest wielki, Boże, dobry, wszechmocny, miłosierny! Wysłuchaj modlitwy dziecka Twego, które z ufnością i pokorą śle Ci słowa skargi i prośby...

I płynęła modlitwa...

Przypomniały mi się lata, ubiegłe już dawno, kiedym błagał w modlitwie o zdrowie i życie matki, kiedym z naiwną ufnością wymagał od

Niego, by zmienił tor biegu świata i ocalił mi to najdroższe życie.

Nie wiele pragnąłem teraz. Niech mi choć jednym promykiem rozjaśni życie, pełne walk i trudów. Niechaj wejrzy Swem okiem i obaczy, że mi jest źle na świecie.

Samotny, opuszczony, borykam się wśród ludzi, i nie dobrze mi, i chłodno, i ciężko... nieraz nad siły ciężko...

Egzamin! Zanadto mi on ciężył na duszy, żeby mi teraz nie przyszedł na myśl. Tak—błagałem Boga, żeby mi dla Swej wszechmocności dopomógł, zezwolił, rozkazał....

Prosiłem, jak dziecko małe, które się modli do Bozi o ulubiony przysmaczek lub zdrowie lalki. Wróciła mi cała prostota i wiara dziecinności.

Szlochałem i zawodziłem.

Wreszcie uląkłem się ogromu mych żądań. Już nie o szczęście błagałem, nie o usunięcie cierni życia przede mną, nie o chleb powszedni, tylko o to fatalne jutro, o które życie moje miało się tak zahaczyć.

Słońce już weszło zupełnie i dzień był wielki, a jam się modlił jeszcze, rozmawiał z Bogiem.

Wreszcie znużony, w płaczu, zasnąłem, z głową zwieszoną na parapet okna, na kolanach...

Nie zdałem.

Ogarnęła mię wściekłość. Zdawało mi się, żem miał prawo mieć o to żal do Boga.

To też krnąbrność i pycha wsączyły mi się w serce.

Drwiłem, szydziłem, bluźniłem.

Wreszcie wstyd mi było przed samym sobą. Tak się upokorzyć, tak zdziecinnieć, tak się zaprzeć całego dobytku rozumu, którym się w owe czasy niezmiernie szczyciłem — i za to nic nie otrzymać!

Czułem urazę i miałem jakąś rozkosz w myśli, że mogę coś zarzucić temu najdobrotliwszemu Bogu, przed którym kolana zginają.

Dzieckiem byłem jeszcze.

Nowe wrażenia jednak szybko zatarły to bolesne przejście i gniew mój bezsilny.

Zobojętniałem dziwnie. Dogmat za dogmatem leciał w gruzy, a ja dopomagałem jeszcze do tej niszczącej pracy. Przeczytałem kilka książek, w których nic nie było o Bogu, zapaliłem się do fizyki, zasłyszałem coś o Wolterze i Darwinie, jednem słowem mądrzałem strasznie. Nigdy nie uważałem się za tak wszechstronnie mądrego, jak wówczas. Z dumą spoglądałem na swych kolegów, stawiając się w duszy nieskończenie od nich wyżej. Niema ludzi bardziej zaufanych w siebie i dumnych ze swego rozumu i wiedzy, jak właśnie 19-toletni młodzieńcy.

Szukałem ideału, biegłem z życiem w szalonym pędzie, aż w tej pogoni pogubiłem wszystko.

Z całej dawnej wiary pozostało mi jeszcze mgliste pojęcie o Bogu, jako najwyższej, kierującej i twórczej istocie,—i o nieśmiertelności duszy. Te przetrwały najdłużej, bom ich strzegł i trudno mi się było tak rozstać z niemi bez nowych urojeń, któreby dawniejsze zastąpiły. Zawsze to przykro spaść z tak wysoka.

Aż pewnego dnia zapytałem siebie: dlaczego przechowuję jeszcze w głębi duszy te szczątki dawnej wiary?

Nie umiałem na to odpowiedzieć.

Nie umiałem, bom nie mógł żadnem rozumowaniem poprzeć tych archaizmów, jakie mi gdzieś po zakątkach mózgu tkwiły.

Od tej chwili straciłem duszę i Boga.

Czy cierpiałem wówczas nad tem? Nie. Nie zdawałem nawet sobie sprawy, że to jeden z najważniejszych przewrotów w życiu. Lekko, swobodnie, nawet wesoło, załatwiłem się z temi szmatami pieluch, jak nazywałem wtedy te survivale umysłu, i ani chwili jednej nie zastanawiałem się nad tem, czem zastąpię powstałą próżnię.

Więcej nawet powiem: doznawałem jakiegoś zadowolenia z poczucia swobody i niezależności, jakbym się wyzwolił z pod ostrej i przemożnej a uciążliwej kontroli. Niema Boga? Tem lepiej. Jeżeli niebo jest niczem, jam wszystkiem, ja panem, ja sędzią siebie, jak już Słowacki powiedział.

W pewnym okresie wieku takie poczucie własnej niezależności wydaje się niemal szczęściem. Ulegałem i ja tej zwykłej kolei życia. Ot, umarł sobie starowina dziadek, niezły, ale zrzędny, czasem nudny, czasem przestarzały w swych pojęciach, nieraz surowy i niewyrozumiały na prawa młodości, którą przeżył dawno, a zawsze krępujący i pełen wymagań.

Umarł? — a no, nażył się już sporo, czas miejsca innym ustąpić.

Tak to sobie jakoś wyrozumowałem.

I było mi z tem dobrze. Ukończyłem właśnie gimnazyum i wstąpiłem na uniwersytet. Nowe wrażenia, odmienny tryb życia, pochłaniały mię w zupełności. Swoboda, jakiej używałem po wyjściu z klauzury gimnazyalnej, olśniła mię na czas jakiś. Życie prowadziłem nad wyraz nieporządne. Tłumione dotychczas żądze wystąpiły z całą siłą. Popłatniejsze trochę lekcye pozwalały mi na zakosztowanie niejednego zakazanego owocu. Wreszcie—różne tam były historye.

Używałem więc trochę.

Zmieniłem się do niepoznania. Z dawnego pilnego i naiwnego chłopca przeobraziłem się w studenta hulakę, z szyderczym uśmiechem na ustach, pustką w głowie, a nicością w duszy.

Tak mi zeszedł pierwszy rok życia uniwersyteckiego. Cudem jakimś udało mi się tylko przejść na drugi kurs: zupełnie nie uważałbym

się za pokrzywdzonego, gdyby mię na drugi rok zostawili, tak dalece zaniedbałem się w pracy.

Wtedy dopiero po raz pierwszy od roku przejrzałem. Zrozumiałem całą czczość i bezcelowość takiego życia, jakie prowadziłem dotąd; i jak rzucałem się w nie bez zbytniego zapału, tak też i bez żalu je porzuciłem.

Przytem i zdrowie coraz bardziej zaczęło mi niedopisywać.

Otrząsnąłem się szybko. Wróciło zamiłowanie do pracy, wrócił rozsądek,—ale nie wróciły się już ani zdrowie, ani wiara. Wraz z rumieńcami na twarzy zniknęła dawna prostota; zrobiłem się bardziej złożonym, jakby powyginanym na wszystkie strony, a przez to kruchszym i słabszym. I już nigdy nie mogłem się naprostować. Sielsko-anielskie dzieciństwo ustąpiło młodości górnej a chmurnej. I dziś...

Eh, co tam!...

Tak to ja straciłem wiarę.

*3 Marca.*

Widocznie słaby jeszcze jestem bardzo i choroba robi mię większym idealistą, aniżeli jestem w istocie, lub być chcę. Tak, w życiu codziennem za mało mam czasu na podobne rozmyślania, jak wczoraj. Teraz ta bezczynność odkrywa mi wiele stron duszy, nieistniejących dotychczas, albo może raczej przytłumionych. Z pewną

ciekawością śledzę się obecnie, jakim ja jestem w głębi, jaką drogą poszedłby mój umysł, gdyby był pozostawiony zupełnie sobie samemu, nierozrywany na wszystkie strony codziennemi, małemi sprawkami. Wogóle uważam, że jestem skłonnym do jakiegoś marzycielstwa, a nawet, wprost powiedziawszy,—mazgajstwa. Tego ostatniego strasznie się boję. Jeżeli już nie mogę się zdobyć na optymizm życiowy, choćby na wzór Stacha, wolałbym drwić ze wszystkiego, niż płakać, bo ostatecznie wszelkie kwilenia i utyskiwania na życie funta kłaków nie warte i nic a nic nie łagodzą jego ciężaru. Żale i narzekania to najniedołężniejsza filozofia życiowa. Łzami się muru nie rozpuści, a oczy wypłynąć mogą. Już lepiej kląć i złorzeczyć, a najlepiej nic nie robić, tylko żyć i żyć, jak Zosia moja. Niesłuszniem się nad nią litował—prędzejby zazdrościć można. Taka filozofia najdoskonalsza, bo jej wcale niema. Myśmy sobie pobudzili jakieś licha, w głębi nas drzemiące, jakieś świadomości, kontrole, zdawania sprawy,— wszystkie istoty niesłychanie wymagające, wiecznie niezadowolone, zgryźliwe, przesadne,—i musimy im służyć.

Ja już nie potrafię się cofnąć do tego stanu prostoty. Licho zbudzone we mnie nie da się uśpić ani wyżenąć. Będzie tkwiło zawsze, ażeby, jak cień, towarzyszyć każdej myśli, każdemu zachceniu i pytać ciągle: „a po co? a dlaczego? a w jakim celu?“ Całe usiłowania skierować

tylko mogę na to, żeby płacz w śmiech, a narzekania w drwiny obrócić. Może tak znośniej mi będzie na świecie.

Dziś pytałem się Starzeckiego, kiedy będę mógł wyjść po raz pierwszy. On mi robi nadzieję, choć sam nie ukrywa, że go dziwi ta długa rekonwalescencya. Zachodzą podobno jakieś dziwne komplikacye. To najgorsze, że gorączka nie ustępuje. Przez nią nie mogę do sił powrócić, a tych mi tylko trzeba, żeby się nazwać zdrowym zupełnie.

Głupia rzecz ta choroba: chciałoby się choć dryndą po mieście przejechać, a tu kwasić się trzeba w tych czterech ścianach. A dziś akurat taka pogoda, jaką ja pasyami lubię: mróz kilkunastostopniowy, śnieg skrzypi pod nogami, a niebo takie czyste, jakby nigdy chmur nie widziało. Coby to była za przyjemność tak się przelecieć piechotando— choćby do Łazienek na przykład!

Stęskniłem się już strasznie za moją kochaną Warszawą, za ulicami, trotuarami i całym zgiełkiem ulicznym. Jak tylko wstanę, zaraz pierwszego dnia ze Stachem urządzimy wędrówkę po mieście. Już taki sobie bal zrobimy.

Do Warszawy jestem dziecinnie przywiązany. Może to nawet śmieszne takie przywiązanie, umiłowanie jednego kącika świata, ale ono doprawdy dopełnia mi trochę życie. A czemżebym ja sobie umilił swoje wieczorne wędrówki po

ulicach z jednego krańca miasta na drugi, gdyby nie ta sympatya do trotuarów, gmachów, latarni gazowych?

Lapończyk tęskni do swoich bezbrzeżnych oceanów śniegu, Arab do pustyni,—a ja do moich płomieni gazowych, skupionych do siebie na placach, jak gwiazdy konstelacyj na niebie, — do moich bruków i domów, do alei z murów i pasków nieba nad ulicami.

Trzeba umieć wszystko odczuć. Nawet kamień przydrożny, nawet znaki nad sklepami mają wówczas swoję duszę.

*4 Marca.*

Dziś rano, bez żadnego powodu, w chwili rozmowy ze Stachem, rzuciła mi się gwałtownie krew gardłem. Już to po raz trzeci od miesiąca. Co to wszystko ma znaczyć? Zaczyna mię to niecierpliwić,—no i niepokoić w końcu.

Teraz mi lepiej trochę i siedzę jako tako, ale przed południem nie mogłem już dokończyć niemieckiego z Hofmannem. Myślałem, że się przemogę, i prosiłem go, by zaczekał z kwadrans,— ale i to się na nic nie zdało. On jest nudny trochę, przytem namiętnie zażywa tabakę, a ja dziś, nie wiem dlaczego, właśnie nie mogłem znieść jej odoru. Skończyło się na tem, żem go prosił, by wyszedł jak najprędzej.

Wogóle jestem dziś w niehumorze: drażni mnie i nieobecność Stacha, i Hofmann, i Starzecki i ta cała choroba,—wreszcie nie wiem co jeszcze. Nie potrafiłem się nawet pohamować wobec Starzeckiego. Choćby dlatego, że darmo chodzi do mnie codziennie, powinienem czuć wdzięczność dla niego i okazywać uprzejmość. Ale dziś, doprawdy, nie byłem zdolen. Ten nowy krwotok przeraził mię więcej, niźli chcę okazać. Słusznie czy niesłusznie, część winy zwaliłem na Starzeckiego za tę powolną kuracyę i w kilku słowach dałem mu to do zrozumienia. Teraz żałuję tego bardzo, bo to dobry człowiek; a że nie orzeł, toć i nie jego wina, że go takim mama-natura stworzyła.

Jutro muszę mu podwójną grzeczność okazać. Mam nadzieję, że Stach, który wyszedł razem ze Starzeckim, załagodzi jakoś moje niestosowne znalezienie się. On mi oczami dawał znaki, żeby się powstrzymać w goryczy, i z pewnością dlatego tylko wyszedł z nim razem. On zna moje szusy, to i wytłómaczyć potrafi.

Nie wiem, czy wytrwam, tak siedząc do wieczora. Chciałbym w ten sposób uspokoić trochę obawy Stacha. On się dziś tej krwi także przeląkł strasznie.

Leżeć nie chcę dłużej,—raz, że mi się to już szalenie uprzykrzyło, a po drugie, że zaczynam doznawać jakiegoś instynktownego wstrętu do łóżka. Wszystko, co tylko przypomina chorobę,

sprawia mi niewypowiedzianą odrazę; każę Łuckiej co dzień zaścielać łóżko choć na kilka godzin, żeby się pozbyć widoku rozłożonej pościeli. Te poduszki, ta kołdra, siennik—to symbole niemocy i cierpienia. Raz już chcę wziąć z niemi rozbrat.

Jeszcze mię tylko te flaszki z receptami irytują. Poproszę Stacha, żeby to gdzie do dyabła wyrzucił. Po co ma stać na oczach? Dosyć, że mię kaszel dusi i piersi bolą, nie potrzeba więcej symbolów.

Boję się, czym do Amelki dość zręcznie napisał. Odczytuję list po raz drugi, a ciągle mi się zdaje, że ona domyśli się wszystkiego. Wreszcie, choćbym i napisał, żem chory trochę, to jakże jej napiszę—na co? Albo ja wiem sam, co mi jest? Kaszel, osłabienie,—to jeszcze nie żadna choroba; wstyd się nawet przyznać do leżenia w łóżku. Ot, uczepiło się jakieś licho i po kościach tłucze, a ty cierp, nieboraku, póki się nie odczepi.

Czy to nie głupia taka sytuacya?

*5 Marca.*

Stasisko mój ma jakieś wielkie zmartwienie. W głowę zachodzę, co to takiego być może. Gdyby mu kto umarł lub zachorował, byłby mi powiedział przecież; a tymczasem na usilne moje nalegania i prośby nie chce nic powiedzieć;

nawet się wypiera i gorączkowo chce mię zapewniać, że mu się nic nie stało,—ale mnie nie potrafi oszukać. Znam go za dobrze, żeby nie potrafić zmiarkować, w jakim jest nastroju.

Wczoraj wieczorem powrócił blady, zmieniony strasznie; a kiedy się witał ze mną, widziałem, jak drżał. Uderzyło mię i to również, że usilnie się starał panować nad sobą i nie dać nic poznać. Kolacyi jednak nie jadł zupełnie, a potem, zamiast się wziąć, jak zwykle, do książek, usiadł na mojem łóżku i, ni z tego, ni z owego, zaczął mnie całować i ściskać, jak nigdy dawniej, ze łzami w oczach. Byłem zdumiony i przerażony tym jego dziwnym wybuchem. Wiedząc, że zwierzenie się może mu sprawić ulgę, wręcz zapytałem, co mu się stało. On się zmieszał jeszcze bardziej i widziałem, że mu przykrość sprawiło to wydanie się ze swoim bólem. Ja nalegałem dalej, on brnął coraz głębiej. Jąkał się, mieszał, a czując swoje pomieszanie, złościł się sam na siebie; wreszcie, zarzuciwszy ledwie szynel, nic nie mówiąc, wybiegł z pokoju. Widziałem, że mu najwięcej przykrości sprawiały moje pytania, a jednak nie okazywał mi zupełnie rozdrażnienia, jak bywało w takich razach dawniej; przeciwnie, raz po raz podchodził do łóżka, przyciskał mą głowę do swych piersi, całował w czoło, jednem słowem rozczulał się, jak nigdy.

Choć byłem w strasznym niepokoju o niego i chciałem, bądź-co-bądź, wydobyć mu z serca tę tajemnicę, postanowiłem jednak nie dopytywać się już o nic i udawać, że nic nie widzę.

Kiedy wrócił po półgodzinie, miał oczy zaczerwienione, jakby po płaczu. On płakał! U niego to rzecz niesłychana!

Zdjął mię ogromny żal. Posadziłem go przy sobie na łóżku i, siląc się na spokój, zacząłem rozmowę o naszym projektowanym wyjeździe na uniwersytet za granicę. Jemu się twarz wykrzywiała, torturowało go każde moje słowo,— jednakże z wysiłkiem starał się podtrzymać temat i, nie wiem dlaczego, gorączkowo chciał mię zapewnić, że na pewno pojedziemy.

A kiedym mimowoli machnął dłonią, mówiąc: „eh, kto to tam wie, co będzie,“ jemu się znowu łzy zakręciły w oczach i nagle pocałował mię w rękę.

Osłupiałem. To już było coś anormalnego, chorobliwego. W pierwszej chwili pomyślałem, że zwaryował, i ze strachem rzuciłem mu pytanie, czy się nie czuje chorym. Powiedział, że ma dreszcze i od rana czuł się już niedobrze. Zaczął mię zapewniać skwapliwie, że wszystkie te jego dziwactwa są tylko wynikiem niezdrowia i że nazajutrz będzie już w porządku. A tak się cieszył tą chorobą, tak ją w siebie wmawiał, jakby to były skarby największe.

Może on rzeczywiście chory? W nocy nie spał, bom słyszał, jak się przewracał z boku na bok; dziś wstał jak z krzyża zdjęty i nic nie mówi. Tylko dla mnie zrobił się czułym, troskliwym — aż do przesady.

Co to jest? co mu się stało? Nic nie wiem. Dziś ponowię swoje pytania, bo mię już drażni w końcu ten brak zaufania z jego strony. Jedno przypuszczam: może go minęło odznaczenie za rozprawę, którą napisał. Ale onby się nie mazał chyba dla takiego powodu. Wreszcie za dumny na to.

Biję się z myślami i nic wymyślić nie mogę.

*6 Marca.*

Niewytłómaczony jakiś strach wciska mi się w duszę. Nie wiem dlaczego, ale czuję się w przededniu jakiegoś nieszczęścia. Co się ma stać, nie pojmuję, ale coś się stanie.

Może to noc i samotność tak mię ponuro nastraja, — nie wiem, może,—ale boję się czegoś strasznie.

Cały dzień dzisiejszy zeszedł nad wyraz smutnie, prawie grobowo. Nawet zwykłą wesołość Zosi przytłumił Stach swą tragiczną miną. Boże mój, co mu jest? Nigdy go takim nie widziałem.

Jakieś nieokreślone podejrzenia czepiają mi się uporczywie.

Już boję się pytać nawet...

*7 Marca.*

Do jakiego stopnia umysł nasz zależnym jest od rozmaitych warunków zewnętrznych, najlepszym dowodem służyć mi może wczorajsza notatka w tym dzienniczku. Pisałem ją wieczorem, w gorączce, kiedy chorobliwie rozegzaltowana wyobraźnia najdziwaczniejsze obrazy przedstawia. Umysł osłania jakby jakaś czarna płachta, która wszystko na czarno zabarwia,—i choć się człowiek stara otrząsnąć z takiego ataku melancholii, na nic wszelkie wysiłki. Czuje się nawet całą anormalność takiego stanu, a jednak wyjść z tego zaczarowanego koła nie można, bo nawet sama owa samowiedza przybiera anormalny, spaczony charakter.

Bo czyż dlatego, iż wiem, że mi smutno,— smutek mój straci cośkolwiek na swej sile? Ani trochę. Wpada się jedynie w błędne koło bez wyjścia i ostatecznie cała logika umysłu zdobywa się na jednę tylko sentencyę: smutno mi, bo mi smutno.

No, ale dziś nie mam wcale zamiaru pisać traktatu o smutku. Przeciwnie, od rana samego jestem w złotym humorze. Blask słońca tak rozwesela całą fizyognomię świata, że tego wesela aż nadto dla mojej duszy. Zdaje się, jakby to światło słoneczne wdzierało się aż do najdalszych kryjówek mózgu i po prostu niema już tam

najmniejszego zakątka, któryby przez pryzmat tego blasku na świat nie spoglądał.

Jeden tylko Stach stanowi wyjątek w tem ogólnem weselu. Minę ma ciągle tak pogrzebową, jakby pół świata pochował, a drugą zamierzał.

Coś go naleciało widać.

Doktora przyjąłem dziś przesadnie uprzejmie. Chciałem go tem przeprosić za piątkowe niestosowne wybryki. Wyściskaliśmy sobie ręce tak czule, że aż w stawach trzeszczało, i widziałem, że wychodził dość ze mnie zadowolony. To z gruntu poczciwa kreatura, aż za poczciwa na doktora. Rozczula się, zamiast radzić, a to, dalibóg, mniej potrzebne.

*8 Marca.*

Jestem niespokojny trochę o Zosię: pomimo obietnicy, nie była wczoraj wcale. Prosiłem wieczorem Stacha, żeby poszedł do niej dowiedzieć się, co zaszło,—ale on się przyznał, że właśnie stamtąd wraca. Straciła biedna jakieś dwie lekcye, choć mniej popłatne, i to ją zmartwiło bardzo; a że nie chciała sprawiać mi przykrości swojemi kłopotami, więc wolała sama się biedzić ze smutkiem, nie czując się na siłach zataić to przede mną. Wdzięczną była Stachowi za odwiedziny i prosiła, żeby mię przygotował do tej niepomyślnej wiadomości.

Tak mi Stach opowiadał. Jednakże czuję, że oni coś tają przede mną. Wszystko nie zgadza się jakoś strasznie z charakterem Zosi. Nie przeczę, że utrata dwóch lekcyj mogła ją zasmucić trochę, ale skądże znów ta dziwna obawa o mnie? Żeby mnie nie zmartwić? To po cóż mi o tem powiedzieli? Wreszcie skąd się wzięła ta niebywała u Zosi reflcksya? Ona zawsze zwierzała mi się z najdrobniejszej swej przykrości lub pomyślności, czując instynktowną potrzebę dzielenia się ze mną wszystkiem, najczęściej, aby zaczerpnąć otuchy. Z naiwnym egoizmem nie zważała, jak ja przyjmę tę lub inną jej przykrostkę, zresztą zawsze niesłychanie dziecinną,—a tu naraz takie machinacye z jej strony! I jaka ona naiwna jeszcze! Jeżeli to prawda z temi lekcyami, to czyż sądzi, że mię ta wiadomość aż przerazić potrafi? Ona będzie miała mniej, toć mogę ja mieć więcej, a sztukę dzielenia posiedliśmy już dawno.

Naturalnie najgorsza rzecz w tem, że ja, niedołęga, nic teraz poradzić nie mogę. Ach, ta choroba, ta choroba! Już mi kością w gardle stanęła. Od tygodnia wszystkie wydatki na Stacha i Zosi głowie. Jeżeli to dłużej potrwa, trzeba się będzie do szpitala wynosić. Oni słuchać o tem nie chcą,—no, ale ja przecież nie mogę ich wyzyskiwać.

*9 Marca.*

Dokoła mnie dzieje się coś dziwnego, niepojętego. Zosia przyszła do mnie wczoraj tak blada, tak okropnie zmieniona, jakby przebyła najcięższą chorobę. Potem wpadała kilka razy w spazmatyczny płacz i dopiero po długich wysiłkach udało się Stachowi uspokoić ją trochę. Miała przesiedzieć do wieczora, a tymczasem wyszła przed 6-tą.

Ja leżałem jak głupi, nie rozumiejąc nic, bojąc się pytać. A jeszcze, jakby na złość, ku wieczorowi robiło mi się coraz gorzej i chwilami zapadałem w jakieś odrętwienie, co ich tembardziej podniecało.

Tak być dłużej nie może. Jutro zapytam ich wręcz, co ukrywają przede mną, bo przeczuwam jakieś straszne nieszczęście. A już wolę wiedzieć wszystko, bo tak zwaryować można.

I po co Amelka przyjeżdża do Warszawy? Zosia najwyraźniej powiedziała, że z listu jej można wnosić, iż ma taki zamiar.

Co to znowu znaczy? Czyżby miejsce straciła? No, ale jakże to wszystko będzie? ja chory, ona bez miejsca, Zosia lekcye traci (bo to prawda, skoro teraz będzie mogła po kilka godzin przesiadywać u mnie) — cóż my robić będziemy? Ona widać nie wie o naszem położeniu, — tak, naturalnie, nie wie, skorośmy nic o tej chorobie nie pisali, — i dlatego decyduje się na krok taki.

Już mi się i myśleć o tem nie chce. Jestem chory, nie mogę teraz kierować życiem. A tak się tego jutra boję...

*11 Marca.*

A więc ze mną ma być do tego stopnia źle, że oni uważają śmierć moję za bardzo możliwą?

Co to było wczoraj?—ja nie wiem; to jakiś sen straszny, majaczenie,—ja nie wiem.

I dlaczego oni to za konanie uważali? Bo słyszałem, słyszałem najwyraźniej, jak któreś z nich krzyknęło: „on kona!“—więc się czegoś podobnego spodziewali?... I dlaczego? dlaczego? Jeżeli tak jest rzeczywiście, czemu ja o tem nic nie wiem?

Nie mogę sobie dać rady z własnemi myślami. To wczoraj wykoleiło mię zupełnie.

Niema takiej głębi, któraby nie była niczem wobec bezdni. A ja właśnie nad nią stoję...

Bo to był okropny dzień. Do końca życia pozostanie mi w pamięci.

Obudziłem się, jak zwykle, w dość dobrym humorze i czas do śniadania zeszedł na gadanie. Przy herbacie żartowałem sobie najspokojniej ze Stacha i z jego umiejętności nalewania herbaty. Dopiero papieros mię zgubił. Lekkie zachłystnięcie się dymem wywołało taki straszny atak kaszlu, jakiegom w życiu ani doświadczał, ani słyszał. Trudno nawet znaleźć odpowiedni

wyraz na określenie, co to było: po prostu jakaś piekielna muzyka całych piersi, wszystkich wnętrzności, wycie, pisk, rzężenie, chrapanie, cała gama najstraszniejszych jęków,—wszystko,—tylko nie głos ludzki.

Były chwile, żem się z uwagą wsłuchiwał w te dziwaczne odgłosy, chcąc dojść, skąd one pochodzą,—sam bowiem nie mogłem rozpoznać, że to moje płuca te jęki wydają. Szamotałem się całem ciałem do tego stopnia, że Stach w pierwszej chwili uważał to za konwulsye. Chwilami instynktownie chwytałem się rękoma za piersi, po prostu w obawie, żeby mi nie pękły.

Pół godziny zeszło na takiej męczarni. Osłabłem tak, że mię Stach musiał sam ułożyć na poduszkach i lekarstwo w usta wlewać. Leżałem jak obumarły i lekkie rzężenie świadczyło chyba tylko, żem duszy z tym kaszlem nie wykaszlał. Biedny Stach bardziej był może ode mnie przerażony. Widziałem, że chwilami tracił zupełnie głowę. Gorącą herbatą parzył mi usta, w oczy mi wody kolońskiej nalał, powywracał krzesła, jednem słowem w trójnasób pogarszał sytuacyę.

Uspokajałem się coraz bardziej i wszystko wracało do zwykłego porządku.

Czas mijał, czułem się daleko lepiej, w piersiach tylko pozostał ostry, szarpiący ból. Ogarnęła mię jakaś ciężka apatya; nie myślałem literalnie o niczem, pochłonięty jedynie kontem-

płacyą nad deseniami kołdry. Obadwaj zachowywaliśmy głębokie milczenie. Od czasu do czasu czułem nad swoją głową pochylającego się nade mną Stacha, który chciał się dowiedzieć, czy nie śpię. Natychmiast przymykałem oczy, bojąc się, żeby o co nie zapytał: nie chciałem się wcale otrząsać z apatyi. Prawie drzemałem.

Tak nadeszło południe.

Zaczynam drzemać na dobre, z wpółotwartemi oczami. Naraz łoskot otwierających się drzwi otrzeźwia mię zupełnie. To Zosia.

Wpada, jak zwykle, z hałasem, zarumieniona od mrozu, bez ceremonii tupie nogami i już od samego progu zaczyna coś szybko mówić. Ja widzę, że udaje brawurę i sili się na wesołość.

Energiczne „pst“ osadza ją na miejscu. Stach głową, rękoma i nogami daje jej pierwsze objaśnienia o tem, co zaszło.

Następuje momentalna metamorfoza. Zosia staje na miejscu, jak wryta, przestraszonemi oczami wodząc to po mnie, to po Stachu. Daję nakoniec znak życia i powtarzam z uśmiechem: „nic, nic.“

Znów zmiana sytuacyi. Zaczynamy się ruszać wszyscy i mówić wszyscy razem, każde co innego. W jednej chwili zaczyna być gwarno, niemal zgiełk, nie możemy się zrozumieć wzajemnie. Zosia pyta, Stach przesadza się w opowiadaniu, chciałby jednym tchem wszystko z dziesięciorzędnemi szczegółami odmalować, co mu się natu-

ralnie nie udaje, — ja oponuję i uspokajam. Istna wieża Babel. Zosia sama nie wie, co robić: czy się do mnie uśmiechać, czy Stacha słuchać. Robi i jedno i drugie: co sekunda inne wrażenie maluje się na twarzy. Widzę, że się w żaden sposób zoryentować nie może.

Naraz krztuszę się. Nic, przeszło. Odchrząknąłem tylko. Mówię dalej. Zosia, ni z tego ni z owego, zaczyna mię całować. Oni udają wesołość, śmiejemy się wszyscy, ja najgłośniej...

Zakrztuszam się po raz drugi. Nic, i to przechodzi.

Jesteśmy czegoś ogromnie uradowani. Mnie się tylko ciągle zdaje, że oni grają komedyę. Ale nic — gramy dobrze. Zosia jest w swoim żywiole—lata po pokoju, trzepoce rękoma, usta jej się nie zamykają. Przypomina sobie, że się jeszcze ze Stachem nie witała. Nowy powód do ogólnej wielkiej wesołości; witają się trzy razy czulej i serdeczniej, niż zwykle; nie wiem dlaczego—ogromnie mi się to wszystko zaczyna podobać, choć ciągle jeszcze ich podejrzewam. O mało nie gwiżdżę z jakiejś wielkiej uciechy. Jestem jak pijany, wymachuję rękoma, zanoszę się od śmiechu; — chcę im coś powiedzieć... oni nie słyszą...

Naraz krztuszę się znowu. Chrząkam... Nic, dobrze... Nic... czuję okropne łaskotanie w gardle, w piersi jakąś przeraźliwą pustkę.

Zaczynam szybko, raz po raz, łykać ślinę. Nie pomaga. Czuję całą furyę, jaka mi się zbiera w piersiach. Ale muszę się przemódz; chcę im coś ogromnie wesołego powiedzieć, — twarz już w połowie przybrała wyraz, odpowiedni konceptowi, cała pozycya ciała przygotowana do wyrazistszej ilustracyi słów; koncept już... już... ma zlecieć z ust... — dławię się... — nie,—muszę się pokonać; zatykam usta, oddycham przez nos... Nie, — i to nie pomaga.

Krew mi zalewa głowę... gorąco... wciskam się w poduszki: oni myślą, że się pokładam ze śmiechu, a ja się duszę... Srebrny głosik Zosi rozlega się po całym pokoju. Zdaje mi się, że wszystkich ogarnia szał... słyszę...

Naraz staje się coś nadzwyczajnego. Okropny jakiś pisk czy wycie wydziera mi się z piersi i tracę niemal przytomność.

Cały wściekły huragan, do ostatka duszony w piersiach, wybucha nagle.

Zaczyna się pasowanie. Po prostu wyję. Głowa zdaje się rozlatywać w kawały, w mózgu czuję ogień. W płucach gra mi powietrze, jak wiatr na stepie,—pustka, pustka okropna, łaknąca tchu, ziejąca pragnieniem, nienasycona... Wiję się, jak w konwulsyach; nie czuję siebie, czuję tylko tę przepaść, jaką mam w piersiach, w brzuchu; ona tylko żyje, ona harce wyprawia.

Nareszcie mgła mi oczy zasłania, nie widzę nic, wpadam w jakąś otchłań, gdzie wszystko

jest czerwone, purpurowe, granatowe, w końcu czarne i nic... nie pamiętam...

Jakiś ciężar opada mi na piersi, coś mię oplata wokoło. Jestem zatrzymany nad otchłanią. Zaczynam się szybko podnosić gdzieś do góry,— coraz widniej, jaśniej.

A... żyję, jestem! Już widzę, nawet i słyszę.

To biedna, zanosząca się od płaczu Zosia ściska mię tak konwulsyjnie. Cały pęk jasnych jej włosów widzę tuż na piersiach moich. Na razie nic nie wiem, co się stało. Nic mię nie dziwi; żyję tylko ciałem, fizycznie, poruszam się odruchami, coś bełkocę... Wszystko jest ogromnie naturalne. Zosia płacze? Tak widać potrzeba. Stach klęczy i nogi mi rozciera? I to widać potrzebne. Wszystko jest najlepiej, tylko mnie czegoś brakować zaczyna. W twarzy uczuwam szalone ciepło, głowa mi rośnie, rośnie... ot, pęknie za chwilę... tchu... tchu... duszę się.

Zaczynam się szamotać, żeby się uwolnić od przywalającego me piersi ciężaru... i bezwładny opadam na poduszki...

Straszny krzyk „on kona! on kona!“ wdziera mi się w mózg. Zaczynam w to wierzyć, nie rozumiejąc dobrze; jednocześnie gwałtownemi ruchami zdzieram z siebie wszystko, rozrywam koszulę, paznogciami wpijam się w ciało... tchu... tchu... tężeję cały... duszę się...

Nakoniec! Aaa... odetchnąłem! Łzy mi spływają z policzków; sam nie wiem, skąd się wzię-

ły. Zaczynam ogromnie wierzyć w to, że konam. Coś mówię, strasznie bez związku, wargi trzęsą mi się niesłychanie.

O, doskonale już rozumiem wszystko. Tak—konam. Nic.—To Zosia.—Czego ona płacze? No, przecież umieram; tak, to bardzo naturalne, że ona płacze. Ale to nic.—Co?—Strasznie widno.—Po co tu hak w sufit wbity, kiedy niema lampy wiszącej? E... głupstwo.—Hm... czego to ja chciałem? Czegoś chciałem.—A! Zosia!—Więc ja niby umieram. Prawda, prawda, że to ja umieram.—Trzeba się pożegnać. Dobrze... ale dobrze... potem... trochę później, przecież konam.—Hak?... tak... dobrze...

Jakieś kawałki rozmaitych myśli tłoczyły mi się do głowy. Przed oczami przewijały mi się obrazy z niesłychaną szybkością. W połowie myśli zapominałem jej początku. Wszystko mi się rwało i plątało, wszystko wydawało w oświetleniu błyskawicy. Ani chwili jednej nie wątpiłem, że konam, tylko nie dobrze to rozumiałem. Byłem w ciągłem oczekiwaniu, że jeszcze chwila, jeszcze coś... coś... i zrozumiem wszystko dokładnie. Jakaś zasłona, co mi wzrok osłaniała, miała opaść lada sekunda, lada chwila... i ot wszystko będzie dobrze, wszystko się wyjaśni, nastanie jakaś harmonia, coś niezwykłego... nieznanego... koniec...

Jak długo to trwało, nie pamiętam. Łzy same spływały mi po twarzy. Powoli zaczął mię

opanowywać jakiś straszny, bezbrzeżny żal. Wargi drżą mi coraz bardziej; chcę coś powiedzieć, zdławione gardło nie przepuszcza głosu. Oddycham coraz szybciej i wpadam w łkanie.

O, już teraz wiem, że płaczę i dlaczego płaczę. Wreszcie nie sam płaczę: Zosia łka nerwowo, Stachowi łzy drżą w głosie i słowa wymówić nie może. Czuję się otoczonym miłością,— żałują mię, współczują...

Ogarnia mię coraz większa rzewność; łkanie przechodzi w cichy, serdeczny płacz i zaczynam zawodzić, jak małe dziecko, któremu się krzywda dzieje. Rozczulam się nad sobą samym; jakaś cicha, spokojna żałość napełnia mi serce.

— Smutno... strasznie... strasznie mi smutno. Ja taki biedny... wynędzniały... nie mam już matki... nikogo... sam, jak palec... i oto umieram jak nędzarz, opuszczony, nieszczęśliwy... mamo, mamo!

Popłakuję sobie z cicha. Już nie ja, ale cała dusza mi płacze. Nie myślę o śmierci, o Zosi, o Stachu,—o niczem. Siebie mi tylko żal. Kurczę się i zwijam w maleńki kłębuszek na łóżku, bo mi się zdaje, że im mniejszym będę, tem bardziej mam prawo się żałować.

— Jestem taki mały, taki malutki, taki biedny i nędzny, jak dzieciątko małe, głodne, bez matki, obite... Kto nie zapłacze?

Powoli, powoli przycicham trochę. Ze łzami spływają moje smutki i rozrzewnienie. Łagodnie,

delikatnie zaczynam uspokajać samego siebie. Dobieram w myśli wyrazy jak najczulsze, najbardziej przekonywające, traktuję się jak dziecko, sam sobie nadaję najpieszczotliwsze imiona i delikatne czynię sobie wyrzuty za tę słabość, jakiej uległem. Najmniejszem słówkiem boję się zadrasnąć miłość własną, żeby nie urazić samego siebie.

— No, cicho, kochanku, no, cicho. Przecież nic ci się złego nie stało. Pfe... wstyd tak płakać, jak dziecko małe. Tyś już mężczyzna... Tobie smutno? ja wiem, że ci smutno; ale po cóż znów tak płakać? Nieładnie, naprawdę nieładnie tak się mazać. Widzisz? będą się z ciebie śmieli. A co? a co? czy nie mówię? Będzie nieładnie; pomyślą, żeś baba, a przecież ty nie chcesz być babą? prawda? co? nie chcesz? A widzisz... No, to już cicho... cicho...

Rozmawiam tak ciągle z sobą. Rozgrzeszam się za ten wybryk dziecinności, ale każę sobie dać słowo, że się to już więcej nie powtórzy.

— Naturalnie, że się nie powtórzy. To przecież było tylko chwilowe rozdrażnienie, nic więcej, a teraz już wszystko minęło. Prawda, że minęło? Naturalnie! No, a teraz trzeba naprawić jakoś, co się nabroiło. Widzisz, Zosia płacze, Stach jak cień blady; toś ty wszystkiego narobił. A... wstyd!.. Dzisiaj płaczą, ale co to jutro będzie? Na śmiech się tylko wystawiłeś, bo przecież nie umarłeś, chociaż niby konałeś... Widzisz,

jakiś ty jeszcze głupiutki! A toś się dał wywieść w pole!..

Zaczynam się ogromnie wstydzić tej chwilowej słabości. Ostatnie ślady rozrzewnienia znikają zupełnie. Już nie rozmawiam ze sobą, tylko myślę jednolicie. Mój płacz wydaje mi się rzeczą tak dziecinną, tak bezsensowną, wprost śmieszną, że nie wiem, co zrobić, co powiedzieć, żeby zatrzeć w ich umysłach pamięć o tej kompromitującej mię scenie. Nigdy, nigdy nie uczuwałem takiego wstydu.

Nastąpiła gwałtowna reakcya.

Zły, rozirytowany, podrażniony, odwróciłem się twarzą do ściany, pozostawiając ich samym sobie. Niech sobie myślą, co chcą, choćby to, że konam. Nawet lepiej, żeby tak myśleli,—przynajmniej to mnie usprawiedliwi.

I tak przeleżałem do samego wieczora, nie odzywając się ani słowa. Co oni robili?—nie wiem. Zosia, słyszałem, że płakała. Wreszcie zaczęli się naradzać, kto ma iść po Starzeckiego. Poszła w końcu Zosia, ale, nie zastawszy go, wróciła wkrótce. Raz po raz podchodzili do mnie na palcach, patrząc, co robię,—alem ja ciągle udawał, że śpię. W końcu zasnąłem rzeczywiście. W czasie mego snu musiał być Starzecki, bo mam nowe jakieś lekarstwo, które już w nocy zażywać musiałem.

Dziś udaję, że nic nie pamiętam, oni też nic o tem nie mówią. Jesteśmy wszyscy jak po

czyimś pogrzebie. Nawet mówimy przyciszonym głosem.

Żeby oni wiedzieli, żeby oni wiedzieli, co za odkrycie im zawdzięczam! Ja nie wiem, czy to prawda, nie wiem, czy warto myśleć o tem, ale muszę już myśleć.

Rzucili mi w mózg to nasienie śmierci i ja czuję, jak ono, pomimo ciągłych zagłuszań, coraz bardziej urasta. Od wczorajszego dnia śmierć wisi nade mną, sen mi spędza z powiek, jest moją zmorą i ciągłem udręczeniem.

Każda myśl się od niej zaczyna, każda się na niej kończy — i wokoło czuję śmierć, śmierć i tylko śmierć.

*12 Marca.*

Ładną jeremiadę palnąłem sobie wczoraj, niema co mówić! Że też ja mogłem choćby kilka godzin o takich głupstwach myśleć! Wreszcie nic dziwnego, po nieprzespanej nocy, po takim rozkosznym pozawczorajszym dniu, można się było choćby powiesić z melancholii, a cóż dopiero o śmierci majaczyć!

Aż przykro pomyśleć, że taka rzecz, jak bezsenność, może podobne brewerye z człowiekiem wyprawiać.

Poczciwy, kochany doktór, najwięcej wpłynął na moje uspokojenie. Kiedym mu wspomniał o swych czarnych przypuszczeniach (a umyślnie

przesadziłem nieco), roześmiał się ze mnie tak serdecznie, tak szczerze, żem go o mało nie uściskał za to. Jak on się sympatycznie śmieje! Coś do tego stopnia dziecięco-naiwnego słychać w tym uśmiechu, że nie można mu nie wierzyć. To też i wierzę, wierzę, i nie mam najmniejszego zamiaru dawać się wywodzić w pole.

*13 Marca.*

Najszaleńsze pomysły przychodzą mi do głowy. Machina mózgu pracuje tak, że czuję niemal swoje myśli. Chwilami dochodzę do obłędu. W położeniu mojem zaszła tak raptowna zmiana, że jestem wykolejonym ze zwykłych dróg myślenia.

Tak,—naturalnie, ja jestem chory, chory poważnie, ciężko, może nawet niebezpiecznie. Tak... naturalnie, muszę to przyznać, no... ale...

Przedewszystkiem, co to za choroba? Rozumiem tyfus, dyfteryt, zapalenie mózgu,— to są choroby, od których i umrzeć można. Ale ja na żadną z nich nie cierpię, prócz bólu w piersiach nie uczuwam prawie żadnych cierpień, a mimo to wciąż tracę siły, w oczach gasnę. Boże mój, jak ja wyglądam! Szkielet powleczony skórą, nic więcej.

Jest jakaś dziwaczna choroba, nosząca nazwę konsumpcyi—czyżby to ta właśnie być miała?

Niedołęga Starzecki nic mi w tym względzie powiedzieć nie umie, czy nie chce. Od trzech tygodni słyszę wciąż jedno zapewnienie, że „rekonwalescencya“ następuje strasznie powoli, że był za wielki ubytek sił, że jednak niebezpieczeństwo już minęło (a więc było!)—i t. d., i t. d. Najgłupsze w świecie frazesy, bez żadnej treści, w dodatku kłamliwe. Wmawiają we mnie, jak w dziecko, że jestem już na drodze do zupełnego wyzdrowienia, a ja tymczasem dogorywam powoli.

Tak dłużej trwać nie może—muszę nakoniec wiedzieć całą prawdę. Jeżeli to rzeczywiście ma się śmiercią zakończyć, niechże wiem przynajmniej, że umieram. Ha... ha... ha!... to chyba rzecz całą zmienia cokolwiek. Jest przecież jakaś różnica między „mam żyć“ a „mam umrzeć!“ Nie jestem pluskwą, którą można bez powiedzenia „pardon“ lada pantoflem na tamten świat wyprawić.

Głowa moja wysnuwa najfantastyczniejsze projekta, a wszystkie zmierzają do jednego tylko celu: raz skończyć to wszystko, raz już nakoniec wiedzieć całą prawdę. O Starzeckim nawet nie myślę; nie wierzę ani jednemu jego słowu. Wezwę jakiegokolwiek doktora, wymyślę pierwszą lepszą bajkę i wydobędę wreszcie to, co wiedzieć pragnę. O, stanie mi sił do wysłuchania choćby wyroku śmierci.

Minąłem się z powołaniem; powinienbym zostać aktorem.

*14 Marca.*

Suchoty? Kto mi powiedział, że ja mam suchoty? Nikt.

A jednak, dlaczego myśl ta prześladuje mię od wczoraj? dlaczego ani chwili spokoju już zaznać nie mogę?

Ta przewlekła choroba wysubtelniła wszystkie moje zmysły i wydelikatniła nerwy. Chwytam takie drobiazgowe szczegóły, na jakie dawniej nie zwracałem najmniejszej uwagi. Teraz każde wrażenie rośnie, potęguje się, ogarnia coraz większe obszary, aż wreszcie pochłania mię w zupełności. Następuje nieskończony szereg dociekań i tłómaczeń, póki z lada błahostki nie utworzy się idea prześladowcza.

Tak było i wczoraj. Piliśmy sobie najspokojniej herbatę, rozmawiając dosyć swobodnie. Stach, jak zwykle, siedział tuż przy mojem łóżku, przed stolikiem, przystawionym do poduszek. Całe światło lampy padało mu wprost na twarz, nie uszło zatem mej uwagi najmniejsze drgnięcie jego rysów. A ja lubię obserwować tę jego prostą i jasną twarz, na której każda myśl maluje się z wyrazistością rzeźby. Czytam w jego rysach, bo ta szczera do gruntu dusza niezdolną jest do żadnej obłudy, choćby płynącej z najszlachetniejszych

pobudek. Czytałem tak i wczoraj,—no i doczytałem się.

Nie wiem, skąd mi przyszła myśl, żeby on dopił za mnie resztę herbaty, jaka się została w szklance. Nieszczęście chciało, żem mu jednocześnie w twarz patrzał. Dostrzegłem na niej jakieś zakłopotanie. To mnie zastanowiło. Zacząłem nastawać, prosić, przekonywać — wszystko na nic. Stach łagodnie ale stanowczo odmawiał. Dziwiło mię to coraz więcej. Wiem, że namiętnie lubi herbatę, wypijał nieraz po pięć szklanek za jednem posiedzeniem, a wczoraj byliśmy dopiero po drugiej. Lekki cień jakiegoś nieokreślonego podejrzenia przemknął mi przez głowę. Tembardziej uparłem się. Stach mienił się cały, to bladł, to czerwieniał, musiał jednak w końcu ustąpić. Nazwał mię dziwadłem, upartym dyabelcem, dzieciakiem, którego wszystkie kaprysy on musi znosić, ale wreszcie zaczął pić łyżeczkę po łyżeczce. Widziałem cały wysiłek, jaki sobie zadawał, herbata po prostu nie szła mu do gardła,—a pił ciągle powoli, z kilkuminutowemi przestankami między jedną łyżeczką a drugą.

Zachcianka moja była spełnioną. Uspokoiłem się odrazu. Znużony, opuściłem się na poduszki, odwracając się twarzą do ściany. Na przeciwległej ścianie zarysowywał się wyraźnie cień Stacha. Bezmyślnie utkwiłem wzrok w ten cień, apatycznie studyując wszystkie jego ruchy.

Tak przeszło z 10 minut.

Naraz cień jego głowy zarysował się zupełnym profilem w moję stronę. Patrzał na mnie. Studyowałem coraz uważniej. Znów jakieś przeczucie podejrzenia przemknęło mi przez głowę. A on patrzył długo, badawczo, jakby chcąc się przekonać, co robię. Potem ręka jego cichutko, bez najmniejszego szelestu, podniosła szklankę z tą moją nieszczęsną herbatą. Cień, jak zwierciadło, odbijał wszystkie jego poruszenia. Profil ciągle był ku mnie zwrócony,

Znów przeszło sekund kilka.

Ten jego wzrok, na mnie skierowany, paraliżował mię i tchu pozbawiał. Nie mogłem już oderwać oczu od ściany.

Naraz prawa ręka cienia znów się poruszyła, zatrzymała ćwierć sekundy i... cała zawartość szklanki znalazła się na tacce od samowara.

W jednej chwili siedziałem na łóżku.

Pomieszany, zestraszony wzrok Stacha był dostateczną ilustracyą tego, co zaszło.

Myśli formalnie skakały mi po głowie: „Mam suchoty... tak, mam suchoty, a on się boi zarazić.“ Ta myśl w przeciągu sekundy opanowała mi umysł. Drżałem cały. Stach osłupiał do reszty.

— Co tobie?... co tobie?

— Nic. A gdzie moja herbata? A, prawda, wypiłeś. Prawda, prawda... przecież widziałem twój cień na ścianie. Jak ty zabawnie herbatę pijesz! Widziałem na ścianie... Podniosłeś tak komicznie rękę do góry, do ust, potem przechy-

liłeś głowę w tył, ot tak... ot tak... widzisz?... a potem chlust... i wszystko ci odrazu wpadło do gardła. Zupełnie jakbyś gardło płukał... doprawdy... doprawdy...

Stach zgłupiał formalnie. Sam nie wiedział, czy mi wierzyć, czy nie. Alem ja tak obrazowo przedstawiał jego mniemane ruchy, tak się wykrzywiałem i gestykulowałem, że możnaby było nie wiem kogo w błąd wprowadzić. Jakaś dziwna żądza pastwienia się nad nim, dokuczenia, zemsty, owładnęła mię całkowicie. Chciałem go zamęczyć niepewnością. Zacząłem szybko, nerwowo mówić ciągle o jednem, ciągle o herbacie, co chwila zmieniając sens. Tom go zapewniał, żem widział szklankę u jego ust, to znów skierowywałem oczy na tackę, po której pływała moja herbata.

Stach nie wiedział, co mówić, co robić. Raz się uśmiechał z moich gestów, próbując mi wierzyć,—to znów czerwieniał cały i mieszał się za lada słówkiem, przeze mnie umyślnie wtrącanem.

Nie żałowałem go nic, bom sam cierpiał strasznie.

Gadałem ciągle, jak maszyna, bez tchu niemal, instynktownie szukając w tem środka na usunięcie jakiegoś ciosu, który, czułem, tuż tuż zawisł nade mną.

Z niego nie spuszczałem oka. Pot mu na czoło występował.

On się męczył!... a ja? a ja?...

Wreszcie dość już miałem. Rzuciłem się na poduszki, sam do ostatka wyczerpany. Nie studyowałem już cienia, nie myślałem o herbacie i Stachu; nowa idea wdarla mi się w mózg i trzeba ją było przetrawiać.

Przetrawiałem ją cały wieczór, noc, dziś dzień cały, i jeszcze się z nią oswoić nie mogę.

Więc to tylko suchoty? tylko suchoty? i nic, nic więcej? No, proszę, jak mało!...

Ee... eh...

*15 Marca.*

Suchoty! suchoty! Oto wyraz, o którym myślę od dwóch dni ciągle, bez ustanku, bez wytchnienia.

No, ale skądże znów we mnie taka nieubłagana pewność, że to rzeczywiście suchoty? A może to nieprawda jeszcze? A może i cała scena z herbatą to także nieprawda? może mi się tak tylko zdawało, albo też śniło w gorączce? Bo mnie się nawet dnie teraz plączą... A wreszcie, choćby to i prawdą było, — czyż więc dlatego, że Stach, przesadzający, jak zwykle, boi się zarażenia, — ma to być już koniecznie dowodem, że ja mam suchoty?

A jednak nie mam już chwili spokoju. Niepewność mię dobija, w mózgu chaos, cala dusza w gorączce, w wyczekiwaniu. Być albo nie być.

Nie mogę tak spokojnie, z zimną krwią wyczekiwać przyszłości. Brak mi już siły po temu...

Raz przeciąć to wszystko... niechże wiem, że umieram i z czego umieram!

Bo może...

Jutro, — nie, — dziś napiszę jeszcze do Łopackiego. On specyalista od chorób piersiowych, potrafi najlepiej wyjaśnić wszystko. A że wyjaśni, w tem już moja głowa. Bajka już gotowa, — godzina komedyi i męczarni, — i wreszcie wszystko się zakończy.

Siły tylko, ach, siły... odrobinę... okruch jaki!

*16 Marca.*

Coraz mniej pozostawiają mię samym. Stach ani się ruszy z pokoju do południa. Zosia przesiaduje południowe godziny, potem złażą się jacyś koledzy z końca świata, których nie bardzo znam nawet. Wszystko to rozrządza się u mnie, jak we własnym domu, gospodaruje, kręci po pokoju,—ciągły zamęt, chaos, chwili jednej spokoju niema. Każdy poczuwa się w prawie rządzenia mną, jak starym pantoflem, wszystko na karb choroby składając. To mi papierosy chowają, to befsztyki w gardło wtykają: jestem dzieciakiem, na dziesięciu paskach wodzonym. Aż mię coś korci nieraz wyprawić ich do wszyst-

kich dyabłów. Myśli porządnie zebrać nie sposób. To Stach mi tego kramu narobił: boi się, żebym mu nie zmarł przypadkiem nagle.

Ach, jacy oni wszyscy brutalni, ordynaryjni! Zdają się patrzeć tylko, kiedy wydam ostatnie tchnienie, jakby się po mnie sukcesyj jakich spodziewali...

A no, zobaczymy jeszcze, jak to będzie.

W tych dniach musi się rozstrzygnąć wszystko. List do Łopackiego już napisany, nie mam go tylko przez kogo posłać. Chcę wszystko do czasu w tajemnicy zachować, żeby sobie oszczędzić wszelkich perswazyj i naiwnych pocieszań. Zosia mi to chyba załatwi. Wreszcie największa trudność w określeniu dnia i godziny, w której mógłbym tę wizytę przyjąć. Chcę być sam, niekontrolowany przez nikogo. Niestety, moje opiekuńcze anioły nie opuszczają mnie ani na chwilę. Znów trzeba będzie podstępną grę prowadzić.

Boże! jakże mię już to wszystko męczy!

*17 Marca.*

List do Łopackiego leży jeszcze niewysłany. Im bardziej zbliża się chwila ostatecznego rozwiązania, tem większy lęk jakiś chwyta mię za gardło. Boję się, lękam... trwożę... Co będzie?...

Nie samej śmierci się boję... nie—tylko usłyszenia tego wyroku śmierci, tylko tego zabicia wszelkich złudzeń, jakie może nastąpić, — tego się

boję... Niepewność mię zabija, a jednak czy jutro ta niepewność nie wyda mi się szczęściem niesłychanem wobec owej pewności?

Wreszcie jestem zanadto chorym, bezsilnym. A tu przedewszystkiem siły, siły potrzeba. Po południu gorączka podnieca mię trochę, ale ranki są powolnem dogorywaniem.

Czemuż ta śmierć nie przyjdzie nagle, znienacka?—na co te przedwstępne męczarnie? Czyż i tak nie dosyć, że mam umrzeć? po cóż to pastwienie się ślepych sił natury?

Bredniе piszę, brednie... W głowie chaos, gdzieś lecę, zapadam, mrok coraz większy dokoła duszy... Sił... życia... światła!...

*18 Marca, rano.*

Jestem rozbity, złamany, bezsilny. Choroba robi straszne postępy. Cierpień prawie żadnych—tylko obezwładnienie, apatya i senność. Dnie całe leżę nieruchomo, z oczyma w sufit albo w ścianę utkwionemi, nie mówiąc nic, prawie nie myśląc. A tu godziny, dnie, tygodnie przechodzą, i tak dążę gdzieś do jakiegoś nieznanego celu. Co będzie?

List jeszcze nie wysłany. Nie mam sił myśleć o tem, a tembardziej wykonać. Wczoraj trzy razy zaczynałem mówić o tem z Zosią i trzy razy zabrakło mi odwagi. Rozprzęgło się we mnie wszystko. Bywają już takie chwile, że mó-

wię: „a niech tam,“ — w sekundę potem zimny pot oblewa mi twarz. I tak szarpię się w niepewności, a życie wypływa ze mnie powoli.

Otom jest chory, bezsilny, bezbronny.

A niech tam!

. . . . . . . . . . . . . . . . .

*Południe.*

List wysłany. Ani Zosia, która list ma oddać posłańcowi, ani Stach, ani nikt, nie domyślają się niczego. Całe popołudnie będę sam. Gorączka i koniak działa; jestem zdrowszy, nie boję się zupełnie,— tak — zupełnie się nie boję. Naturalnie!—Wreszcie jestem na wszystko przygotowany; no, niech tam! Odzyskuję pewność siebie i panowanie nad własnemi nerwami.

Trzy ruble przygotowane. Może za mało? No, nie mam więcej: Zosia oddała mi wszystko, co do grosza. Biedna ona! Kiedy ja jej to wszystko oddam?

Opracowuję w myśli każdy szczegół przyszłej rozmowy z Łopackim. Uczę się, jak aktor przed występem na wielkiej scenie. Mówię sam do siebie głośno, próbuję głosu, gimnastykuję muskuły twarzy, chcąc je uczynić posłusznemi rozkazom woli, choćby w mózgu szalały burze.

Jestem jak pijany. Coś mię podnieca i siły dodaje.

Nie ugnę się: czuję dawno niebywały przypływ energii i stanowczości. Wreszcie kości rzucone i za godzin kilka stawka, na którą położyłem życie, rozegra się!

A niech tam!

. . . . . . . . . . . . . . . . .

5-ta! Jego jeszcze niema! Męczę się.

Może nie przyjdzie? Powinien. List był tak napisany, że bezwarunkowo powinien.

Ach, żeby prędzej, żeby prędzej! Już niech się to raz skończy wszystko. Doprawdy—ja już sił nie mam.

Ale co będzie? co będzie? Co on powie?

Wszystko jedno zresztą. Choćby i suchoty, zawszeć przecie z rok pożyję jeszcze. W pierwszych dniach wiosny wyjadę na wieś, rzucę papierosy, będę pił mleko garncami, i to gotowane, koniecznie gotowane,—a potem może i gdzie na Południe będzie można wyjechać na zimę. Powietrze, swoboda, lazur Południa—cuda sprawiają. Aby podtrzymać życie. A potem... No, to się zobaczy.

Hm...— a jeżeli to nie są suchoty?...

Tylko czy on uwierzy tej bajce? Czy nie zanadto przeholowałem z temi trzema tygodniami? Będzie się śmiał... A niech się śmieje, i owszem. Wszystko pójdzie na konto Starzeckiego. A... niedołęga!...

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Z trudem myśli zebrać mogę. Wszystko wiruje przede mną; boję się zemdlenia.

A jego niema jeszcze. Szósta!

Z wysiłkiem kreślę litery, a jednak zmuszam się do panowania nad sobą. Wszystko się wali. Lampa zapalona, a ciemno. To we mnie ciemno.

Eh, głupstwa plotę...

Siły! rozumiesz, ty niedołęgo, ty kaleko na duszy,— siły, siły, mocy... Nigdy tyle, ile teraz. Rozbijaj łbem ściany, ale czuwaj, czuwaj, choćby za chwilę skonać przyszło.

Brednie!... Także...

Nic. Siedzę i piszę. Poduszki ułożone wysoko, wygodnie. To Zosia mi tak ułożyła. Poczciwa! Kiedy ja jej pieniądze oddam? A ona bez szuby chodzi, i to może przeze mnie? Mój Boże!...

Kwadrans po 6-ej. Ho... ho... jak późno!

Nie, jeszcze niema kwadransa. Nie... dopiero — zaraz — tak, dopiero 13 i pół minuty na siódmą. Tak... wszystko widzę doskonale... i słyszę. Jestem przytomny.

E!... głupstwo!... Naturalnie, że jestem przytomny...

I będę przytomny, będę, będę.... Jeszcze dziś „po wizycie“ notatkę w tym dzienniczku zrobię. Bezwarunkowo zrobię,—dla samej kontroli, czym był do ostatka przytomny, zrobię.

Hm... nawet wyrazy „po wizycie“ w cudzysłowie postawiłem.

A tak, „po wizycie,“ „po wizycie.“ Doskonale!

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Nic!—Głupstwo!—Naturalnie, że mam umrzeć. Głupstwo! phi!...

Boże, co za męka!

*24 Marca.*

Tak, ja to wszystko wiedziałem: wszystko, wszystko wiedziałem już przedtem. Gorączkowe sny, bezsenne noce, chora wyobraźnia, ukazywały mi tylko obrazy śmierci i czułem ją w sobie. Wiedziałem, że umrę,— tylko nie wierzyłem. A teraz wierzę. Nie wiele w tem różnicy, a jednak dośćby jej było, ażeby oszaleć. Ja nie oszalałem, wszystkie władze umysłu zdrowe, nietknięte, z większym jeszcze zapasem sił do pracy. W godzinę przemyślę nieraz wieki całe; uwaga moja nie może nadążyć za tą szybkością, z jaką się ślizgam po myślach.

Ze śmiercią użem się oswoił nieco. Jeżeli mózg mój mógł przetrzymać te wszystkie katusze, jakie przeżyłem w ciągu ostatniego tygodnia, świadczy to tylko, że do wszystkiego przyzwyczaić się można. A choć nieraz czuję mroki obłędu pod czaszką, nie daję się jednak im pogrążyć. Całą siłą woli otrząsam się z tych mgieł ciemności i przywoluję do przytomności.

Tydzień mija, jakem nie dotknął kart tego dzienniczka. W pierwszych dniach śmierć moja wydawała mi się tak blizką, tak mającą spaść raptownie, żem się nie mógł oprzeć uczuciu obawy, czy zdążę choćby pomyśleć o czemśkolwiek pożegnać się ze światem, nim mnie nicość śmierci pochłonie. Tak dalece znajdowałem się pod wpływem tej obawy spóźnienia się z przygotowaniami do śmierci, żem mimowoli mówił w przyśpieszonem tempie i poruszał się gorączkowo, starając się w czwórnasób skorzystać z czasu. Nigdy godziny nie zbliżały mię tak niemiłosiernie prędko do końca. Płakałem z żalu za każdą przespaną godziną, która mię okradała z tych nędznych resztek życia.

Przywykłem jednak, a więc uspokoiłem się. Chociaż Łopacki nie powiedział mi wyraźnie, kiedy to nastąpi, wiem przecież, że tylko na tygodnie życie swoje mam jeszcze obliczać. Choćby z tego mogę wnosić, że ani on, ani Starzecki, ani nikt nic nie mówi o wywiezieniu mię na wieś. Znaczy to, że 1 Maja nie doczekam może.

Ale mnie ten czas wydaje się jeszcze niesłychanie wielkim. Obliczam go na dnie, na godziny, minuty, sekundy nawet, i czas mi się dłuży i jak guma rozciąga. Nie ilość dni i godzin stanowi o życiu, ale ich użycie. Dzień może starczyć tak dobrze za rok cały, jak rok za godzinę. Ja przynajmniej o lat kilka przez ten tydzień postarza-

łem. Gdybym cudem jakimś zmartwychwstał na drugi dzień po swej śmierci, byłbym starcem.

I tyle, tyle przeżyłem już od czasu, kiedy ręka moja po raz ostatni tych kartek dotykała! Życie całe odwróciło się na drugą stronę, jakby się przełamało na dwie nierówne części. 23 lata ubiegłe — to jedna strona, jedna epoka życia; ten tydzień — to początek drugiej, następnej epoki; a wizyta Łopackiego—to słup ich graniczny.

Bo był Łopacki. Wpół do 7-ej wybiło już na zegarze, kiedy usłyszałem łoskot otwierających się i zamykających drzwi od korytarza dolnego. Pomimo ciągłego ruchu na naszych schodach, od razu pewnym byłem, że to on. Tak, to *musiał* być *on* tylko, Łopacki. Słuchałem. Serce waliło mi jak młotem, i czułem, jak mi się w piersiach szamotało. Upłynęło kilka sekund. Z daleka dochodziło mię echo turkotu dorożki, przejeżdżającej przed domem; potem ktoś zadzwonił na pierwszem piętrze. A więc to nie on! Cała fala krwi odpłynęła mi od serca,—odetchnąłem.—Byłem rad, spokojny, szczęśliwy. Miałem takie wrażenie, jakby mi kto życie darował na nowo.

Naraz do ucha mego dochodzi szmer z korytarza drugiego piętra. Ktoś idzie... — zatrzymuje się w sionce... może wejdzie w jakie drzwi?... Cały w słuch się obracam. — Nie, wstępuje wyżej... na trzecie piętro... On!

Znów jestem tego pewnym. Tracę głowę z przerażenia.

A on wstępuje powoli, jakby za każdym schodkiem odpoczywając; już jest na przysionku połowy piętra. Słuch mój pociąga za sobą inne zmysły; w stanie halucynacyi wzrok mój przebija drzwi i ścianę, i spostrzega *jego*.

Jest wysoki, strasznie wysoki, włosy jak noc czarne, tęgi, barczysty, z ponurą twarzą, koniecznie z ponurą. Widzę go doskonale. Ot, wypoczął chwilę na przysionku i idzie wyżej. Każdy stopień drży i trzeszczy pod jego stopami. Naturalnie... taki olbrzym...

Jest już w naszym korytarzu. Znów wypoczywa i szuka wzrokiem mego nazwiska na biletach, do drzwi przybitych. Tak, naturalnie, znajduje je... To tak łatwo... trzy kroki na prawo i moje drzwi. Jest już pode drzwiami. Może nie on? (Cała dusza mi wrzeszczy,) że to tylko *on*. Szuka dzwonka... Naturalnie — niema...

Drzwi się otwierają i Łopacki staje na progu.

Zmysły moje gonią się po prostu w wyprzedzaniu jeden przed drugim, aby przejąć nawskróś tego człowieka. Jednocześnie ogarnia mię straszny wstyd przed samym sobą. Takie tchórzostwo!... Wymyślam sobie, nienawidzę się... Szukam w myśli wyrazów, któreby mogły jak najwięcej ukarać mię za tę chwilową słabość.

— Umrzesz, właśnie, że umrzesz, tak, tak, ty mazgaju! ty babo!

Bo i czegóż się obawiałem? Łopackiego? Ależ to najpoczciwszy w świecie człowiek. Widzę go doskonale i mam czas przypatrzyć mu się dowoli. Rozbiera się umyślnie bardzo wolno, chcąc się otrząsnąć z resztek chłodu, jaki przyniósł z sobą. Średniego wzrostu, blondyn, około lat 32-ch, sympatycznej powierzchowności, ubrany bez zarzutu, lśni czystością i elegancyą. Twarz nadzwyczajnie miła, z wyrazem dobroci i uprzejmości, każdy ruch znamionuje człowieka wyższego towarzystwa; wykwintność manier i dystynkcya rzucają się przedewszystkiem w oczy.

A więc to tego, tego człowieka obawiałem się tak strasznie?

Zły jestem na siebie coraz bardziej. Bezgraniczna ufność do Łopackiego opanowuje mię w zupełności. Zdaje się, nie mam sposobu do wyrażenia mu całej sympatyi, jaką uczuwam dla niego. Jestem w jednej chwili przerzucony z piekła do nieba. Wesołość, przedewszystkiem wesołość, jakaś figlarna, dziecinna, rozjaśnia mi umysł.

Łopacki tymczasem, ukończywszy swą tualetę, zbliża się do mnie i, uśmiechając się najprzyjemniejszym w świecie uśmiechem, podaje mi rękę i mówi:

— Zdaje się, że nie zabłądziłem; z panem Rudnickim mam przyjemność?...

W odpowiedzi sypię mu komplementami. Umyślnie staram się jak można najwięcej ująć

go sobie i jakby przeprosić za jakąś przykrość, którą mu sprawiłem. Słowa moje oślizgują się po nim, jakby nie dochodząc do jego świadomości. Uśmiecha się tylko stereotypowo, przyzwyczajony już widać do tego rodzaju wstępów. Wreszcie mówi:

— Zaciekawił mię pan bardzo swoim oryginalnym listem. Opuściłem dwie wizyty, chcąc się stawić na wezwanie, tak dalece zajął mię ten niezwykły list.

I śmieje się, i to jak się śmieje! Chcę mu się niemal na szyję rzucić z wdzięczności za tę pogodę, jaka zapanowała w mej duszy. Zaczynamy się śmiać obadwaj, ściskać sobie ręce, mówić grzeczności, koncepta; jeden dla drugiego życieby — zdaje się — oddał z ochotą. Jesteśmy jak dwaj przyjaciele. Coraz większa wesołość zapanowywa dokoła.

Nakoniec lekko, swobodnie, pół seryo, pół żartem, zaczynam mu wyłuszczać mniemany powód jego wezwania.

Była to owa bajka, przygotowana od dawna. Dopiero w ostatniej chwili poczułem całą jej niedorzeczność. Ale już było za późno na zmiany. Jeżeli Łopacki uwierzył jej choć w piątej części, zawdzięczam to tylko swym zdolnościom aktorskim i doskonałej wymowie. Podniecony silną gorączką, grałem po mistrzowsku. Przedewszystkiem chodziło mi o to, ażeby go przekonać, że ja wiem o swoim beznadziejnym stanie

i że nic sobie z tego nie robię. Drobiazgowo przytaczałem zmyślone opinie doktorów o mojej chorobie; o Starzeckim powiedziałem, że mi każe już za trzy tygodnie umierać; zachwycałem się rodzeństwem Mainländerów, i t. d., i t. d.

Wpadłem w jakąś furyę brawury. Tysiące myśli latało mi po głowie, język nie mógł nadążyć z ich wypowiadaniem. Wiele z nich przepadło niedopowiedzianych, zapominanych natychmiastowo. Miałem wrażenie, jakbym się staczał po jakiejś pochyłości coraz niżej, coraz głębiej, w przepaść. „A niech tam,—a niech tam!“ Jednocześnie czułem dziwną lekkość w całym organizmie. Jakaś dziecinna wesołość, swoboda, jasność umysłu, nie opuszczały mię ani na chwilę. Gdyby w tej chwili trzeba było wstępować na szafot, wchodziłbym nań z uśmiechem na twarzy, ze słowami: „Adieu! Pardon!“ jak na salę balową. Jeszczebym pocałunki od ust rękoma przesyłał.

Ach, czemu on mi wtedy odrazu nie mógł powiedzieć: „To suchoty, niema ratunku!“ A Łopacki słuchał mię ciekawie. Śledziłem grę rysów jego twarzy, inteligentnej, uszlachetnionej piętnem wiedzy i myśli. Widziałem, jakie wrażenie wywierał na nim każdy mój wyraz, mogłem więc stosownie do tego regulować swoję rolę. I zdaje się, że mi się udało: odurzyłem go oryginalnością i dziwactwem. Słowa moje działały nań jak narkotyk, jak denerwująca sonata Sze-

pena, — nie spostrzegł się, kiedym w niego wszczepił ten oszołamiający pierwiastek chorobliwej atmosfery, w jakiej umysł mój pozostaje ciągle.

Nareszcie zaczęło się długie, nużące nad wyraz badanie. Przedewszystkiem musiałem opowiadać całą historyę mego życia, wszystkich chorób, jakie przebywałem, warunków, w jakich wzrastałem i t. d. Męczyło mię to bardziej, niż zwykle, gdyż musiałem ciągle lawirować między prawdą a kłamstwem, nie chcąc dać powodu do powątpiewania o prawdzie poprzednich słów moich. Poprzednia żywość i błyskotliwość umysłu już znikły. Coraz bardziej opadałem z sił, wskutek reakcyi po nadmiernym przypływie energii. Wreszcie, co innego jest mówić, a co innego odpowiadać na pytania. Pytania coraz to z innej strony zaskakują człowieka i już nie można oryentować się tak szybko. Swoją drogą wybrnąłem z tej pierwszej próby jako tako.

Z kolei nastąpiła auskultacya. Musiałem to kłaść się, to siadać, to klękać, to znów przewracać się na wszystkie strony,—wreszcie liczyć, wzdychać, kaszlać, aż w końcu opadłem z sił zupełnie. Gorączka tylko podtrzymywała mię nieco.

Z wielkim wysiłkiem starałem się prowadzić jeszcze rozmowę, ażeby się nie wydać ze swoim opłakanym stanem przed Łopackim. Bałem się, żeby nie zaczął mię żałować.

Wreszcie Łopacki pozostawił mię w spokoju, i zaczął przeglądać recepty Starzeckiego i badać flegmę.

Czułem, że się zbliżała ostateczna chwila. Rzeczywiście znajdowałem się w opłakanym stanie. Gdyby nie obecność Łopackiego, jęczałbym głośno. Myśl moja fantastyczne odbywała podróże, goniąc za wzrokiem, który błądził bez celu. Chciałem skupić się w sobie, opanować myśl i zwrócić ją w jednym jakimkolwiek kierunku. Na próżno. To dziura od haka w suficie, to mucha przelatująca, to cień na ścianie, pochłaniały moję uwagę. Mimo to, nie mogłem ani chwili nie myśleć jednocześnie o tem, co miało nastąpić. Ten rażący kontrast między grozą położenia a temi bzdurstwami, na myśli o których ciągle się łapałem, powiększał tylko moje rozdrażnienie i do wściekłej a bezsilnej złości na siebie pobudzał. Wymyślałem sam na siebie, a jednocześnie obserwowałem na ścianie świetlany kwadrat z odbijającego się światła lampy w lusterku.

Jak długo to trwało, nie pamiętam. Straciłem zdolność oryentowania się w czasie.

Nareszcie Łopacki zbliżył się do mnie. Siedziałem wysoko na łóżku, ze wszystkich stron popodpierany poduszkami, umiejętnie przez samego Łopackiego ułożonemi, — to tylko chroniło mię od opadnięcia na poduszkę, bo siły moje już się do ostatka wyczerpały. Kiedym go uj-

rzał przed sobą, czułem, że mi wszystka krew do serca zbiegać zaczęła. Był to jednak niczem nie umotywowany odruch ciała, bo ja się już nie bałem. Nie wiem dlaczego, ale nimem jeszcze zdążył spojrzeć mu w twarz, już byłem pewnym, że ratunku dla mnie niema.. Byłem tego pewnym do tego stopnia, że gdyby odpowiedź jego była wprost przeciwną, doznałbym jakiegoś uczucia zawodu, i, co tem dziwniejsze, zawodu jakby przykrego. Nimem się *dowiedział*, już *wiedziałem*— i jakiś martwy, choć wcale nie bolesny spokój mną owładnął. Jedna chwila dostateczna była do przenicowania całej duszy.

Pamiętam wszystko doskonale. On stał przede mną, lekko nachylony, z trochę zaambarasowaną fizyognomią, bawiąc się od niechcenia dewizką od zegarka, wbrew zwyczajowi włożonego w prawą kieszonkę kamizelki. Rzecz nie do uwierzenia,— a jednak ja teraz dopiero dostrzegłem, jakie miał na sobie ubranie: elegancki garnitur żakietowy jasno-popielatego koloru, z dość lekkiego kortu, którego drobniuchne krateczki migały mi się ciągle w oczach, a ja z trudem starałem się choć jednę z nich pochwycić wzrokiem.

Najwięcej jednak zajął mą uwagę jego kołnierzyk. A miał jakiś dziwny, zupełnie nieznanego mi fasonu, wysoki bardzo i strasznie sztywny. I czy to był chwilowy obłęd, czy też wynik szalonego wysiłku woli, sam dotąd nie mogę sobie zdać sprawy, ale ja, mając nad głową ten

miecz Damoklesa, widziałem tylko kołnierzyk, strasznie wysoki i sztywny...

A on tymczasem, głosem przyciszonym trochę, ale dźwięcznym i melodyjnym, zaczyna mówić:

— Tak, kolega Starzecki nie pomylił się w dyagnozie, choć może nie zupełnie ściśle określił stan choroby. Rzeczywiście, zniszczenie w organizmie dość duże; ale wszystkiego jeszcze spodziewać się można. Przedewszystkiem należy się wystrzegać zaziębienia...

„A więc to suchoty!“ Tego już mi dosyć. Nic mię więcej nie interesuje. On mówi dalej, ciągle spokojnym, łagodnym głosem. Ja słucham i słyszę. Wyrazy jego wpadają mi w uszy, wchodzą w mózg, na tem jednakże kończy się wszystko. W mózgu nic się nie porusza, nic nie oplata przeciskających się weń nowych pojęć. Poza tem działałem machinalnie, jak automat. Spytałem się jednak:

— Czy z wiosną mam wyjechać na wieś?

— Zapewne, zapewne... byłoby dobrze.... wreszcie, to dopiero potem będzie można coś w tym względzie wnioskować...

„Nie wyjadę z wiosną, bo jej nie doczekam“ — znów mi się przedziera gdzieś do wnętrza mózgu. Jestem jednak zadziwiająco spokojny. Czuję doskonale, że on mi nie chce całej prawdy wyznać i na wszystkie zapytania będzie odpowia-

dał wymijająco. Wreszcie wiem już, com chciał wiedzieć.

— A więc tak!... ha... trudno...

Tyle mu tylko odpowiedziałem. Miałem już ten frazes gotowy, bom go sobie jeszcze przed jego przyjściem ułożył.

Znów zaczęło się bredzenie myśli, podążającej za wzrokiem. Kratki kortu i kołnierzyk zajmowały mię przedewszystkiem. Bo i co za dziwny kołnierzyk! Jeszczem takiego nie widział. Wysoki, — aż za wysoki chyba, — a jaki biały! jaki sztywny! Ale musi być niewygodny, — bezwarunkowo niewygodny. Przy zgięciu szyi pewnie się łamie.

Zaczynam uważać, czy się rzeczywiście nie łamie. Wpatruję się z taką badawczością, że to aż zwraca uwagę Łopackiego, który w dalszym ciągu prawi coś tym samym tonem. Ja słyszę wszystko doskonale, lecz wyrazy jego obijają mi się tylko o uszy, bo ani chwili nie mogę skupić uwagi o tyle, żeby je dobrze zrozumieć.

Swoją drogą odpowiadałem mu zupełnie logicznie, zadawałem pytania, nawet koncepta paliłem, — tylko zdaje się, żem się nie śmiał, bo miałem wrażenie takiego zimna na twarzy, jakby mi za życia gipsową maskę z niej zdejmowali. A czym myślał o czemkolwiek, sam nie wiem teraz; prawdopodobnie o niczem,— a machina mózgowa sama, bez udziału mej woli, działała i kombinowała. Byłem tak spokojnym, że

dziwiłbym się może sam temu, gdybym tylko mógł zdać sobie z tego sprawę.

A Łopacki precz mówi. Widząc mój zadziwiający spokój, zaczyna mi opowiadać jakąś historyę o bednarzu, którego miał w szpitalu, chorego także na suchoty. Zachodziły tam jakieś zdumiewające komplikacye, dotychczas będące przedmiotem sporu między lekarzami.

Nie wiele już rozumiałem. Mętniało mi wszystko coraz więcej. Czułem jakieś wewnętrzne zimno. Po prostu lodowaciałem. Łopacki, chociażem go tylko słuchał, a nie słyszał, męczył mię już niewymownie. Sam nie wiedziałem, czego mi się chciało, ale czułem, że muszę zostać sam z sobą, żeby zebrać myśli, bo mi już zaczynał ciążyć ten dziwny, nienaturalny spokój, w jaki popadłem.

Ten nieszczęsny kołnierzyk znów mi utkwił w myślach.

Nie mogłem się na tym punkcie uspokoić. Nakoniec, zdaje się, żem o niego zapytał zupełnie poważnie. Łopacki też zaraz zaczyna mi objaśniać, że to fason już nie pierwszej mody, wprowadzony przez jakiegoś artystę, że teraz jest bardzo używany, że niewygodny, że za wysoki, i że noszą go ci, co mają długą szyję. Ale kto miał taką długą szyję—on, czy ten artysta, nie mogłem dobrze zrozumieć. Znów zatem zadałem mu o to pytanie, ale także nie mogłem się połapać. Wszystko mi się mieszało, byłem jak

oszołomiony i nie wiele już pamiętam z tego, co później było.

Coś mi mózg przygniatało. Czym myślał o śmierci, także nie wiem; ale to wiem, żem się męczył nad wyraz.

Wreszcie Łopacki zaczął się żegnać. Przez cały czas kurczowo zaciskałem w ręce przygotowane 3 ruble. Nie przyjął ich jednak. Coś mówił o koleżeństwie, o swojej sympatyi dla mnie, obiecał mię odwiedzić jeszcze—i nakoniec, po kilkakrotnych uściśnieniach rąk, wyszedł. Zdaje się, żem mu dziękował serdecznie; wreszcie nie wiem, nie pamiętam dobrze. Staczałem się coraz niżej, w jakąś ciemną głębię, jakby noc, i coraz bardziej traciłem świadomość. To pamiętam jeszcze, że gdy nakoniec zostałem sam, miałem poczucie jakiejś swobody, że teraz mogę już myśleć. Tylko o czem? Zapomniałem.

I ciągle szukałem w pamięci, o czem to ja myśleć miałem, i ciągle to coś rozpraszało się przede mną. Czułem ciężar. Nie mogłem na niczemześrodkować rozproszonych władz myśli. A jednak musiałem o czemś myśleć. Tak, naturalnie, myślałem, ale—jakby to jaśniej określić?—nie słowami i zdaniami, nie pojęciami, lecz obrazami i barwami. Są takie myśli. Kiedy umysł znużony zapada w sen, zawsze podobne obrazy przesłaniają nam mózg, coraz się zbliżają, czuje się je na powiekach, na oczach, potem w oczach

samych, wreszcie jakby w samem wnętrzu mózgu, i... następuje niepamięć.

Jak długo byłem w takim stanie, nie wiem. Może godzinę, może kilka, a może minutę tylko. Nic nie wiem. Przytomny jednak byłem zupełnie; to czułem i jestem tego pewny. Tylko czegoś brakło: rozumu?—pamięci?—uwagi? Też nie wiem.

Powoli jednak zacząłem odzyskiwać panowanie nad sobą. Ta dręcząca mię ciągle myśl: o czem to ja myśleć miałem, nareszcie znalazła zaspokojenie. Coś się widocznie przedarło z zapadłych kryjówek mózgu, co dotąd w żaden sposób nie mogło się przedostać do ośrodków świadomości, i jak błyskawica nagle oświetliło wszystko. Znalazłem. A! to śmierć!

Zrozumiałem wszystko i zaczął się prawdziwy taniec rozmaitych myśli, jakie mi przelatywały przez głowę. A wszystkie krążyły około jednego tylko punktu, jednego pojęcia: „Mam umrzeć, mam umrzeć.“ Zdaje się, że szalałem.

Ale powoli z chaosu myśli znów zaczęło się wyłaniać jakieś inne pojęcie, jakiś nowy rozkaz, że mam coś zrobić, nad czemś się zastanowić. A ta potrzeba uchwycenia tej nowej myśli tak w końcu opanowała wszystkie inne, że znów zacząłem przypominać sobie, o czem to ja myśleć miałem.

Wreszcie pochwyciłem wątek... „A! Stach! prawda!“—i nic mię już poza tem nie zajmowało.

Teraz, kiedy przypominam sobie to wszystko, rozumiem dokładnie, dlaczego, pomimo cha-

osu w głowie, szukałem tych dwóch wątków myśli. Jeszcze w czasie wizyty Łopackiego wbijałem sobie w głowę niemal machinalnie, że kiedy będę już uwolniony od niego, *mam* myśleć o dwóch rzeczach: że mam umrzeć i że mam udawać obojętność—nawet przed moim Stachem. Z początku te dwie myśli przedstawiały mi się jako dość jasno sformułowane zdania, potem jako wyrazy, a wreszcie jako zamglone pojęcia tylko. W końcu i to się zatarło i zostało jedynie jakieś niejasne poczucie, że coś zrobić trzeba; dlatego też z taką trudnością wyławiałem te pojęcia z ogólnej gmatwaniny.

„A! Stach!“ To mię otrzeźwiło. Nie chciałem się nawet przed nim przyznać do tej słabości, do tego lęku przed śmiercią, co mi krew ścinały. Wreszcie nie lękałem się już, nie bałem. Myśl o oczekującej mię nowej scenie i obmyślanie roli pochłaniały mię o tyle, że zapominałem o rzeczywistości choć chwilami. Energia moja wykonywała już nie wiem który zwrot w tym dniu.

Trzeba się było szykować. Przytomniałem coraz więcej. Zacząłem myśleć już względnie spokojnie, logicznie, nawet chłodno. Umyślnie starałem się przyczepiać myśli do rozmaitych drobiazgów, żeby się choć trochę dać pochłonąć. Wtedy to zrobiłem kilkuwyrazową notatkę w tym dzienniczku.

Biorąc pióro do ręki, poczułem w niej coś twardego, szeleszczącego. Była to trzyrublówka, przeznaczona dla Łopackiego, a nieprzyjęta. Bezwiednie zatem trzymałem ją w zaciśniętej kurczowo garści przez cały czas. Zacząłem się śmiać sam z siebie, nerwowo, urywanie, boleśnie. I złość i litość nad sobą napełniły mi serce. Po raz pierwszy poczułem, jak strasznie upadłem na duchu.

Wreszcie i to przeszło. Czas umykał szybko, zegar wybił dziewiątą. Wmawiałem w siebie chłód i spokój, i zacząłem się zastanawiać nad rozmaitemi szczegółami swej roli, jaką miałem odegrać.

— Umrzeć? No, głupstwo, wielka rzecz! Każdy umiera. On przyjdzie, a ja zacznę rozmawiać zupełnie o czem innem, zupełnie, ale to zupełnie o czem innem. Umrzeć? wielka rzecz! także!... Umyślnie zacznę opowiadać coś wesołego. Będę się śmiał, a jakże! Bo co to umrzeć? Nic. Po prostu nic. Eh! co tam!.. i t. p.

I rzeczywiście uspokoiłem się zupełnie.

Jak zwykle, Stach przyszedł o dziewiątej, zaczął zdejmować kalosze, potem szynel, w końcu czapkę, — jak zwykle, zupełnie jak zwykle. A ja nic nie mówiłem. Przyczaiłem się. Nareszcie Stach zaczyna opowiadać o jakiemś niezwykle trudnem zadaniu, którego nie mógł swemu uczniowi rozwiązać. Opowiada tak szczegółowo, że nawet liczby przytacza. Ja słucham, nawet

silę się na dopomaganie mu swojemi zdolnościami rachunkowemi.

Mówimy już o tem z kwadrans — i mnie to męczyć zaczyna. Nie tak sobie planowałem. Ja chciałem czegoś wesołego, czegoś niezwykłego, chciałem się śmiać, śmiać, choćby tarzać się, ale śmiać koniecznie.

Wreszcie mówię mu odrazu:

— Wiesz, Łopacki był u mnie... ten specyalista od chorób piersiowych...

— Co?... jak?... co ty bredzisz?

Przeraża go to na chwilę. Spogląda na mnie niespokojnie. Ale ja cynicznie prawie ten wzrok wytrzymuję. To go uspokaja, a nawet dziwnie cieszy.

Zaczynam mu opowiadać takie niebywałe historye o Łopackim i jego wizycie, takie bezsensowne z niej epizody, takie bezczelne kłamstwa i koncepta, że mi wstyd przed samym sobą. Śmiejemy się do rozpuku. W przestankach między paroksyzmami śmiechu Stach niedowierzająco kiwa głową. Naturalnie, nie sposób wierzyć takim bredniom.

Ja podsycam ciągle humor. Przechodzę samego siebie, kłamię jak najęty, opowiadam niemożliwości i śmieję się sam bardzo ochoczo. Tylko, zdaje się, nie mogłem swego śmiechu w żaden sposób zastosować do słów, które wymawiałem. Śmiałem się tam, gdzie akurat to było najmniej stosownem, a sytuacye rzeczywiście komiczne traktowałem seryo. Czułem, że mówię

i ruszam się jak automat. To uderzyło Stacha— i właśnie kiedy chciałem jak obuchem ogłuszyć go tą niespodziewaną z moich ust wiadomością o niechybnej mojej śmierci, Stach, przyglądając mi się uważniej, zapytał:

— Co tobie? Co ci jest?

— Eh, nic — odpowiedziałem, ale znów trzeba było grać dalej. Nic, nic tak chciałem mu o tem powiedzieć.

Pot już mi spływał kroplami, a jednak jeszcze wszcząłem poprzednią błazeńską rozmowę. Znów zeszło z pół godziny.

Każdy nerw mi dygotał, a jednak upajałem się sam sobą: do artyzmu dochodziłem. Zawsze miałem ten pociąg do udawania i hecarstwa, a teraz gorączka i groza położenia podniecały mię jeszcze bardziej.

Wreszcie upatrzyłem chwilę. Uciszyliśmy się po trochu, jak to zwykle bywa, kiedy się już wyczerpuje przedmiot rozmowy i nic się niema więcej do powiedzenia.

Miałem już obmyśloną tę scenę do ostatecznych szczegółów. Pół leżąc, pół siedząc wśród poduszek, w pozie zupełnie niedbałej, przechyliłem w tył głowę, wpatrując się gdzieś w sufit, niby nie myśląc o niczem. Serce waliło mi jak młotem, i czułem, że blednę. Swoją drogą niemiłosiernie dociągałem wszystko do końca. W lewej ręce trzymałem papierosa, coraz się nim zaciągając, a w prawej nożyk od papieru, którym

bawiłem się niby machinalnie, kreśląc esy-floresy po kolanie.

Kostniałem z jakiegoś chłodu, owładającego mną coraz więcej.

Wreszcie nagle, tonem zupełnie obojętnym, jakbym mówił o rzeczy najzwyklejszej w świecie, naraz się odezwałem:

— Ale, ale... wiesz co? Łopacki mi powiedział, że i wiosny nie doczekam. Cóż ty na to? co?

Wypowiedziałem to wszystko, ale nie wytrzymałem do końca. Coś mię ścisnęło w gardle i zacząłem się trząść strasznie. I chociaż postanowiłem sobie nawet z ukosa nie patrzeć na niego w chwili, kiedy mu to powiem,—nie mogłem się dłużej pohamować.

Mętnym jakimś wzrokiem spojrzałem mu w twarz.

Pocisk był tak wielki, tak niespodziany, że nie mógł nawet starać się zapanować nad sobą.

Rzucił się gwałtownie i krzyknął prawie:

— Co? powiedział ci *to*?

To *to* zanadto wyraźnem było. W jednej chwili zrozumiałem, że to prawda, że i jemu powiedział to samo Starzecki, kiedy dwa tygodnie temu wyszli razem.

Nie... nie mogłem już dłużej grać komedyi; przestałem być panem siebie. Nerwy zanadto już były wyprężone i musiała nastąpić ta gwałtowna reakcya.

Zacząłem łkać gwałtownie, strasznie...

*26 Marca.*

Pozawczorajsze pisanie zaszkodziło mi widocznie i roznerwowało do tego stopnia, że, pomimo wstrętu, jaki mam do łóżka, musiałem się już przed wieczorem położyć. Mnóstwo myśli latało mi po głowie, ale zapomniałem wszystkich. Szkoda,—zbliżałem się do czegoś, ścigałem jakąś marę, ale w końcu wszystko gdzieś zapadło.

Dziś znowu gorączka straszna. I z czego? A ja czuję, że ta gorączka najwięcej mnie wyczerpuje.

Była Zosia, alem z nią nic prawie nie rozmawiał. Dziwne mię lenistwo chwilami obejmuje. Po szalonych, gwałtownych skokach myśli następuje niemal zupełny jej zanik. W mózgu lodowata cisza, w sercu znękanie, bezwładność w ciele, prawdziwe przerwy w życiu, — a tu schodzą godziny i dnie.

A niech schodzą. Walczyć nie mogę, rady żadnej niema,— trzeba się poddać.

To też poddaję się.

*27 Marca.*

Z całego tego dramatu, którego jestem bohaterem, rozumiem dotychczas jednę jego połowę. Pojmuję, co to jest nie żyć; ale co to jest

umrzeć—nie rozumiem. Nie—życie jest to negacya, antyteza życia, jest to istnienie minus życie; lecz czem jest ta reszta, otrzymana z odjemnej?

Czy życie jest sumą, czy jedną z dodajnych?

Pierwsze—niepojęte, drugie—niewiadome,—oto całe odpowiedzi na pytania, co mózg wyżerają.

Śmierć, jak medal, ma dwie strony. Jedna—to utrata życia, tej jedynej sposobności istnienia i użycia; druga—to śmierć sama, z całą ponurą tajemniczością swoją.

Na co żyjemy? Miliardy przede mną, miliardy po mnie zadawać będą to pytanie.

Po co? na co?

Żeby umierać? Czyż życie całe, choćby było nawet tylko rozkoszą i jednym ciągiem upojeń, zrównoważy sobą tę jednę chwilę, kiedy wyrzec musimy: „umieram?“

A przecież nie jest ono rozkoszą, nie wielu nawet zaczerpnęło z tej krynicy upojenia, która jedynie trudy życia osładza. Są przecież tacy, którzy z pragnieniem tylko przebiegli to życie,—którym nigdy serce nie zabiło ani dla nieba, ani dla ziemi, choćby dlatego tylko, że się tam nigdy nie dostali, lub dostać nie mogli.

Czem dla nich to życie?

A czem śmierć?...

Wytchnieniem?—Nieprawda! Śmierć dla nich—to ręka brutalna, przecinająca w połowie drogę do szczęścia, spokoju,—szczęścia, zapracowanego

krwawo, w cierpieniach i znoju, z prawa im przynależnego. Jesteśmy pielgrzymami pustyni.

W pragnieniu i trudzie przebywamy przepalone słońcem-troską oceany, w nadziei, że wreszcie przebrniemy to morze niedoli i tam dojdziemy, gdzie źródła tryskają i rosną palmy. Nikt nie oglądał tego raju rozkoszy, bo nikt tam nie dotarł, nikt nawet nie wie na pewno, czy on istnieje rzeczywiście. Giniemy wszyscy po drodze, trupami swemi wyściełając szlaki, ażeby i dzieciom naszym wskazać, kędy droga... do nieskończoności.

Są i oazy w tej pustyni. Zatrzymują się w nich obłąkani z pragnienia, z ułudą, że doszli już celu—i, jak my, giną,

W duszy naszej tkwi już zaród pragnienia szczęścia. W pogoni za niem zrywamy się, jak jaskółki do lotu, bo tak już nam instynkt każe.

Niczem nam wieków doświadczenie, niczem trupy po drodze — my wszyscy wierzymy w możność dojścia do celu i biegniemy wszyscy.

Tak było przed wiekami, tak i po wiekach wieków będzie.

Czy dojdziemy? Dopiero konając, wątpimy, a i to tylko za siebie, nie za przyszłości pokolenia. W tem tkwi tragizm śmierci.

Nie chodzi już może o utratę nadziei wyzyskania życia, nie chodzi o to, coby się stać mogło, ale o to, że już nic się stać *nie może*. To zapadnięcie klamki, ta pewność beznadziejności, że

już się niczego nie doczekamy, bo wrota raz na zawsze są zaparte—oto tragedya.

Ja mogę wątpić, czy doścignę czegokolwiek, mogę nawet nie mieć co do tego zupełnie nadziei,—zawsze jednak pozostawało mi poczucie, że do wszystkiego mam chociaż prawa,—a i w tem już jest wiele, aby zapełnić życie. To się tak mówi—co mi z tych praw, kiedy z nich nie skorzystam nigdy,—a jednak to jeszcze ogromnie wiele wobec tej pustki przeraźliwej, kiedy trzeba wyrzec:—nie mam już prawa do niczego.

Nie wątpimy o szczęściu samem, lecz o tem, czy do niego dojść zdążymy. Przyśpieszamy biegu, zaostrzamy myśli, czynimy rozpaczne wysiłki—i tak konamy.

Dlatego śmierć jest dla nas brutalną ręką, odpychającą od czary osłody. Już nie życia nam żal,—wiemy, że było znikomem,—żal nam tego czegoś, czego osiągnąć nie zdążyliśmy. Czem to coś być miało, nie mamy najmniejszego pojęcia, a jednak wierzymy, że istnieć mogło. Nie żałujemy życia dla życia, ale dlatego, żeśmy go dobrze użyć, wyzyskać nie potrafili. Roztrząsamy wszystkie czyny i dążenia swego życia,—i to nas goryczą i smutkiem napawa. Zawsze widzimy w nich marność i ubieganie się za nią. Nicujemy w myśli całą przeszłość, przerabiamy na wspak wszystkie czyny—i zawsze tylko błędy w nich znajdujemy.

Gdyby nie to, gdyby nie tamto,— tak sobie myślimy,—życie całe poszłoby na inne zupełnie

tory. Naturalnie, byłoby daleko lepiej: uniknąłbym tego i tego, zyskał tamto, z tego zaś musiałoby wyniknąć tylko to i to, i t. d.— i zawsze to wymarzone coś widzimy u końca, to coś, będące celem życia, syntezą całego istnienia, harmonią, szczęściem...

Zwalamy winę na wszystkich i na siebie, czujemy żal do całego świata, że w chwilach przełomowych poszło się tą, a nie inną drogą. Ta inna droga wydaje się zawsze lepszą, zawsze doprowadzającą do celu,—droga zaś, którą szliśmy dotąd, jest zawsze szeregiem niewytłómaczonych błędów. Nie zastanawiamy się nad tem, czy rzeczywiście ta inna droga miałaby wyniki szczęśliwe, czy i ona nie miała w sobie zarodków goryczy i marności, — my tylko i tylko dobre w niej upatrujemy.

Stąd żal za życiem zmarnowanem, żal za straconą możliwością szczęścia, żal za każdą godziną, która ubiegła na niczem i już się nie wróci nigdy, nigdy...

Taki jest rachunek z życiem.

Ale to jedna dopiero strona dramatu śmierci.

Druga—to śmierć sama.

Czemże jest śmierć? Przetworzeniem? Snem? Zniknieniem?

Nie wszyscyśmy przygotowani do odegrania roli. Śmierć spada jak piorun, nie pytając, czyśmy już do niej przysposobieni, czy mamy już jaki balsam, łagodzący ciosy.

Co innego jest kłaść się do trumny, jak na drzemkę, z wiarą w przebudzenie gdzieś na innych światach; a co innego ledz w nią bez tej wiary, bez nadziei nawet, że się ten sen kiedyś skończy.

I ja nie mam nadziei. Jestem bezbronny wobec ciosu, bo nic nie mam w duszy. Z wygaśnięciem wiary wyczerpało się we mnie zarazem źródło światła, dozwalającego choć łudzić się, że rozumiem wszystko. Od tego czasu chaotycznie splątane zjawiska utraciły dla mnie swą harmonijną spójność. Wszechświat cały rozprysnął mi się w kawałki i z poprzedniej gotyckiej budowli, opiewającej wielkość Boga, pozostały oddzielne ułamki.

Czym czuł potrzebę odbudowania tego gmachu na nowo, ja sam już nie wiem. Jest pewna epoka w życiu, kiedy ta potrzeba syntezy istnienia ukrywa się tak gdzieś głęboko w duszy, tak jest zagłuszoną codziennemi sprawami egzystencyi, że niemal zanika zupełnie. Ja właśnie tę epokę przebywałem. Żyłem życiem fizycznem tylko, bez troski o przyszłość, bez myśli: czem jestem, po co jestem i czem jest wszystko.

Bywały miesiące całe, w których zapominałem kompletnie o istnieniu jakichś zagadek bytu i machiny świata. Śmiertelność lub nieśmiertelność duszy? Cóż mię to na razie obchodzić mogło? Kto w 21-ym roku życia myśli poważnie o takich rzeczach? o śmierci? Ja budowałem swo-

je życie, cóż mię śmierć interesować mogła? Czyż architekt, stawiający gmach jakiś, myśli o tem, co się z nim kiedyś, kiedyś stanie? w jakie gruzy i wskutek czego się rozpadnie? Zapewne, przyciśnięty do muru, przyznać musi, że się kiedyś ta jego praca rozleci w kawały, powie jakiś ogólnik o znikomości wszystkiego na tym świecie; ale czyż on sam nie uważa tego prawa ruiny za jakąś chimeryczną, nieskończenie odległą konieczność, o której jednak myśleć nie warto?

Ja byłem w położeniu takiego budowniczego. Tak samo, jak on, uważałem za rzecz bezcelową myślenie o początku i końcu wszechrzeczy,— no i nie myślałem.

Absolut, wola, *das Unbewusste*, dynamizm! Nie rozumiałem dobrze tych wyrazów, co mi jednak nie przeszkadzało wierzyć, że je rozumiem. Zastąpiły mi one dawnego Boga. Teorya witalizmu wytłómaczyła istnienie organizmu, i także zdawało mi się, że ją doskonale rozumiem, Jeżeli wynikały jakieś wątpliwości pod względem rozumienia tych pojęć, odkładałem gruntowne ich zgłębienie na później, na jakiś czas nieoznaczony, odległy, kiedy nadejdzie pora na to. Po co miałem sobie zaprzątać tem głowę? Lepiej powieść przeczytać...

I bez tego żyć można, nawet wcale dobrze.

A czy i umierać bez tego tak dobrze—czyż myślałem?

Jestem uosobioną przeciętnością tej falangi wpółwykształconych ludzi, z nicością w duszy, z drwinami na ustach, doskonale się obywających bez wszelkich światopoglądów i metafizycznych idej, zaciekłych najczęściej społeczników (ja i tym ostatnim nie byłem), z oczami ku ziemi, nie ku niebu zwróconemi. Na życiu opieramy wszystko, dla niego pracujemy ciągle, nic poza niem nie dostrzegając.

I żyć z tem dobrze, ale żyć tylko; a gdy umierać przyjdzie, stajemy się pastwą rozpaczy.

Wtedy dopiero otwierają się nam oczy. Widzimy całą kruchość podstaw dotychczasowych idej i dziwimy się samym sobie. Z mistrzów życia stajemy się niedołęgami śmierci. Żadna z piastowanych dotąd idej nie przychodzi nam w pomoc. Wszystkie one dobre były dla życia, wiodły nas przez nie i nieraz uszczęśliwiały,— śmierci stajemy oko w oko sami, niczem nie wsparci.

Jestem cząstką tej masy życiowego ciała.

Idej filozoficznych nie umiałem sobie przyswoić. Byłem ciągle w stanie przetwarzania się i urabiania. Niestety, śmierć przyszła, nie czekając końca pracy.

I jestem teraz niczem. Bo i czemże jest człowiek, który wyszedł z jednej fazy, a w drugą nie zdążył jeszcze wstąpić? Nie mogę już wierzyć, a i zwątpić o wszystkiem nie śmiem, bobym sobie nie wierzył. Nie rozczarowałem się jeszcze do wiedzy i wierzę w jej potęgę. Nic mi

ona nie dała dotąd, ale może dlatego, żem się jej oddawał za mało. Nie chcę, nie mogę z trójnoga dyletantyzmu i naiwności przesądzać o wszystkiem głosem niedouczonego wyrostka.

Jestem jak rumak, schwycony w chwili skoku, bez punktu oparcia, zawisły nad ziemią. A ta jest różnica między mną a sceptykiem, że sceptyk zawisa w jednym punkcie, a ja lecę, wciąż lecę, choć mety nie widzę.

Wiedza przychodzi i szepce nam do ucha: „Bież za mną, a dojdziesz do celu.“ Nie mając ni siły zwątpić, ani uwierzyć, przerażeni otaczającą zewsząd ciemnością, rzucamy się za tą jedyną przewodniczką, mówiąc w duchu: „A może.“

Niema dotychczas wyrazu, odpowiadającego takiemu stanowi umysłu, w jakim się znajduję, jak niema wyrazu, określającego stan wody, która już nie jest płynem, a jeszcze nie jest parą. A przecież między temi dwoma stanami jest jakiś stan pośredni, może nieuchwytny, niemożliwy do określenia, ale zawsze jest, jako przejście i zmienność.

Jestem więc przejściem, zmiennością, tymczasowością, jestem istotą chwiejną, stojącą między dogmatyzmem a sceptycyzmem, gotową przerzucić się do obydwóch tych skrajności, — istotą, nie będącą już tem, czem była, a jeszcze nie wiedzącą, czem będzie.

O ile ten stan przejściowy jest rzeczywiście przejściowym, nie wiem, bom ja go nie przeszedł

dotąd — i już zapewne nie przejdę. Można więc i umrzeć, będąc niczem.

Takich wśród nas najwięcej. Tylko mało rozwinięta samowiedza i duma nasza są przyczynami, że się do takiego bezstanu umysłu nie zawsze przyznajemy. Każdy chce się popisać z wyrobionemi już ideami i przekonaniami, każdy chce być koniecznie czemś, ażeby mieć prawo do zabierania głosu i sądzenia z trójnoga powagi o kwestyach tego świata, a nikt się przyznać nie chce, że się dopiero urabia i tworzy.

Dlatego też tak wielu jest wśród nas skończonych, a prawie niema kończących lub dopiero pracujących. Naturalnie, jest to poniekąd objaw konieczny i nawet pożyteczny, gdyż chroni społeczeństwo od przeładowania niedołęgami, niezdolnymi do żadnego czynu. Życie musi iść swoim trybem, bo każdy żyć musi; a czy jest przyczepiony do ziemi rękoma czy nogami, głową czy brzuchem, to postaci rzeczy nie zmienia. Żołądek musi być nakarmionym: on jest silniejszy od głowy i pobije ją we wszystkich kierunkach. Głowa od biedy może się obejść bez wszelkich idej, żołądek bez pokarmu — nigdy.

Stąd tak szalony rozdział między myślą a życiem. Myśl, jako wytrzymalszą na głód, pozostawiamy w zawieszeniu; dla życia pracujemy wszyscy skrzętnie, bo ono czekać nie może.

Niechże przynajmniej nie każą nam wierzyć, że świat w swych życiowych krokach postępuje

drogą jedynej doskonałości i jest urzeczywistnieniem możliwego ideału świata.

Tkamy tę kanwę życia najczęściej rękoma nieudolnemi, aby zbyć, aby wykonać przymusową część pracy, bez żadnego planu, bez zapału i wiary, że ją dobrze tkamy. Aby zbyć, bo to mus.

Dlatego to tyle nieuniknionego zła i nędzy na świecie.

Tkanina źle spleciona pęka i rozlatuje się w kawały, przepuszcza wilgoć i zimno, nieszczelnie przykrywa nasze nagie ciało, zwyczajnie jak partacko przez nieudolnego krawca zrobiona suknia, w której jeden rękaw przez omyłkę przyszyty dwa razy, a drugi ledwo przyfastrygowany.

I nie może być inaczej. Życie i jego obowiązki nie pytają, czyśmy już dojrzeli do pracy, czy mamy z czem wystąpić na widownię, czy wyznaczoną część pracy społecznej wykonamy wiernie, z niezachwianą wiarą w duszy, że tak a nie inaczej pracować trzeba. Wskazuje ono: „Masz zrobić to i to,“ mechanicznie tylko zaznajamiając z rodzajem pracy. Wymówić się nie można, bo pracować trzeba, bo żyć trzeba. Nawet własne sumienie wysyła rozkaz: „Pracuj,“ bo społeczeństwo ma prawo do swoich wymagań, a trudnoby mu czekać było na chwilę, kiedy toż samo sumienie będzie w możności dać odpowiedź: „Jestem gotów.“

Zmęczyło mię pisanie. Wreszcie widzę, że Zosia zabiera się już do odejścia, a przykro jej

pewnie, że z nią nie rozmawiam. Boże mój! o czemże tu mówić? Czyż oni mogą mię zrozumieć? Musieliby, tak jak ja, umrzeć; a przecież raz tylko umieramy i całą tajemnicę śmierci zabieramy z sobą do grobu.

Umierający—to zupełnie inni ludzie. Do nich nie można stosować zwykłych praw logiki i życia. Są to jakby ludzie z innych planet, obdarzeni odrębnemi zmysłami i władzami umysłu. Znieczuleni na jedno, przeczuleni na drugie, inaczej patrzą na cały otaczający ich świat i pojmują go odmiennie. Czy lepiej, czy gorzej — któż osądzi? Życie ma swoje prawa, a śmierć swoje. I w jednym i w drugim razie ulegamy tylko tym prawom, bo wyjść z siebie nie możemy.

*28 Marca.*

Pomimo wielkiego już wycieńczenia, każę się codzień ubierać w szynel i sadzać na fotelu. To mię wysila jeszcze bardziej,—wiem o tem, ale mi się trudno wyrzec tej rozkoszy, że jeszcze siedzę.

Wiem, że nadejdzie dzień, kiedy już będę musiał powiedzieć sobie: „Nie powstanę więcej,“ ale chcę ten dzień okropny odwlec jak najdłużej. Po prostu od zmysłów odchodzę nieraz z przerażenia, że może siadam na tym fotelu po raz ostatni. Naprężam wówczas energię i każę się oprowadzać po pokoju, próbując, czy jeszcze mogę chodzić. Póki przychodził Hofmann, zamęcza-

łem go często, zmuszając do podtrzymywania mię i spacerowania od fotelu do łóżka i nazad. Teraz Stach mię nieraz bierze z tyłu pod pachy i podprowadza do okna. Patrzę chciwie, nie mogąc oderwać wzroku od tych dachów szarych i czerwonych, jakby w nich upostaciował się świat cały, który żegnać muszę. Mdleję często z wyczerpania, a jednak Stach gwałtem odciągać mię musi na fotel. Zawsze mi się zdaje, że po raz ostatni napawam się tym widokiem i do nieskończoności przedłużam to niby ostatnie wejrzenie.

— A może już od jutra nie powstanę więcej, może to naprawdę po raz ostatni stoję u okna? Trzeba patrzeć, patrzeć, żeby się nasycić, upoić tym widokiem, napatrzyć się na całe życie...

Po całych dniach siedzę jak ogłupiały, bezmyślnie patrząc przed siebie i nic nie widząc. Chciałbym zapomnieć myśleć. Mój stan teraźniejszy—to stan ucisku. Jakiś bezmierny ciężar przytłacza mię swym ogromem, a ja nie próbuję już często ani walczyć, ani rozpoznawać, co mię tak uciska. Wiem, że nie rozpoznam, i poddaję się bierny.

Doznaję nieraz takiego wrażenia, jakby planeta jakaś ciemna, wykoleiwszy się z torów swego biegu, powoli opadała na ziemię, grożąc jej zmiażdżeniem. Ciemny krąg na niebie powiększa się coraz więcej, zasłania słońce—i świa-

dla R. śmierć to apokalipsa

tło, rośnie, olbrzymieje i brzegami swemi zdaje się tuż tuż dotykać krawędzi widnokręgu. Chwila jeszcze, a straszna jakaś katastrofa, coś niebywałego, potwornego, stanie się we wszechświecie. Ziemia rozpadnie się w kawały, huk walenia się światów rozedrze przestrzenie i wszystko zapadnie w jakąś otchłań okropną. W oczekiwaniu tego momentu wszystko blednie i targa się w rozpaczy. Zgiełk tłukącego się o dwa stropy ptactwa wypełnia powietrze, na ziemi ludzie i zwierzęta wyją z trwogi i szaleństwa, wszystkim brak już tchu i światła, wszyscy już czują, że giną i że ratunku niema.

A wtedy przychodzi przedostatnia chwila—wycieńczenie, rozpaczna apatya ogarnia wszelkie życie na ziemi; co żyło, pada, obalone obezwładnieniem beznadziejności, i w bezruchu, w bezpamięci oczekuje końca. Mgły jakieś ciemne zamraczają mózgi, ostatni dech miliardów płuc wyrywa z ciał dusze—i wszystko ginie—przed końcem—zduszone przerażeniem wobec ogromu.

I ja jestem w takiej przedostatniej chwili, duszony ciężarem, obezwładniony beznadziejnością walki. I mnie mgły ciemne zamraczają mózg, i męczę się, szamocę i nie mam nadziei.

To okropne są chwile. Czasem, gdy tak dogorywam niemal w unicestwieniu, nadludzkiem szarpnięciem staram się otrząsnąć z przywalającego ogromu. Roztwieram oczy szeroko, spoglądam dokoła, chcąc sobie przypomnieć wszystko, i bu-

dzę się ze wpółuśpienia. A wtedy myślę. Żadne piekło nie wynajdzie takich katuszy. A... a...a...ch... te myśli! te myśli!... Rozsadzają mi czaszkę i pieką duszę, obłąkują... Już lepiej nie myśleć, już lepiej konać pod tłokiem.

Budzić się, aby cierpieć, — zasypiać, by konać—oto historya mych godzin życia.

Jedyne ukojenie dla mnie—to pisanie tych kartek. Badam się i analizuję, jakbym był obcym sam sobie. Zamiera wtedy we mnie konający suchotnik, a rodzi się spostrzegacz i krytyk. Rozdrapuję nieraz i tutaj swoje rany, ale one są mniej już bolesne, może dlatego, że je sam rozjątrzam. Ten, co nie może opanować trwogi wobec wymierzonej lufy pistoletu, sam ją często w swoję skroń celuje— i pewnie nie drży wtedy, bo sam sobie śmierć zadaje.

Więc kiedy zbliża się chwila anarchii myślowej, kiedy zaczyna się we mnie rozprzężenie, chwytam gorączkowo mój mały dzienniczek, pieszczę się nim, jak dzieckiem własnem, i bawię się.

Takie mi tylko pozostały zabawki.

Najpierw porównywam od dnia do dnia charakter pisma. Cieszy mię, że litery podobne jeszcze jedne do drugich, że mi ręka nie drży. Uśmiecham się wtedy i wypróbowuję siłę ręki. Kreślę na marginesach różne esy-floresy, linijki, zakręty, siląc się na najbardziej skomplikowane. Ale piszę jeszcze równo i wyraźnie, tylko coraz prędzej, żeby mię czasem jakaś myśl niepotrzebna nie zaskoczyła między wyrazami.

Wychudłem jednak strasznie. Palce u rąk sprawiają wrażenie patyków. I lewa dłoń sztywnieje mi często. Zauważyłem, że teraz, kiedy mam ręce wolno opuszczone, palce nigdy nie schodzą się z sobą, a szpary między niemi powiększają się ciągle. To bardzo naturalne: dawniej wypełniało je ciało, teraz trudno się mięśniom przyzwyczaić do nowego położenia.

Codzień z uwagą oglądam swoje stopy, próbując palcem, czy nie są spuchnięte. Będzie to już ostatni znak. Ojcu memu i matce także nogi puchły na 2 tygodnie przed śmiercią. Wszyscy to za najgorszy objaw uważali, no i nie mylili się zupełnie. Wogóle teraz porównywam się ciągle to z ojcem, to z matką, śledząc, jakie choroba moja robi postępy. Wszystkie szczegóły ich zachowania się, objawy ich cierpień, stają mi żywo w pamięci. Podpatruję się ustawicznie w mimowolnych ruchach, szukam oznak na ciele, próbuję siły,—i porównywam, porównywam ciągle.

To mi ułatwia niezmiernie oryentowanie się w położeniu. Idę krok w krok za moją chorobą, pilnuję ją, szpieguję, krytykuję, starając się odgadnąć, co mię czeka jutro, pojutrze, aż do ostatka.

Czasem od takiej samowiedzy włosy powstają na głowie, ale też czasem można w niej znaleźć odrobinę zadowolenia. Wiem, że umrę, jak inni pomarli, — ale też uznaję całą różnicę: tamtych

wiedziono na rzeź z zawiązanemi oczyma, a ja sam na nią idę, licząc swe kroki i oryentując się w drodze.

Czyż nie znam choćby tego najzwyklejszego szczegółu konania, że najczęściej na kilka godzin przed śmiercią, a nawet na dzień cały, siły chorego wzmagają się i dają złudzenie polepszenia? Jest to ostatni przebłysk życia, a potem ciemność i nicość.

Ja to wszystko wiem doskonale, i dlatego mam tę pewność beznadziejności. Chwilowy powrót sił nie jest już dla mnie wróżbą życia, lecz agonii.

Skonam przynajmniej w walce oko w oko ze śmiercią, z raną w piersi, nie w plecy — jak Spartanin.

*29 Marca.*

Od trzech tygodni, t. j. od czasu, kiedy to słowo „śmierć“ po raz pierwszy zapadło mi w duszę, myślę o niej ciągle, bez wytchnienia, albo też jestem pod jej uciskiem. Od tylu już dni i nocy mózg mój pracuje nad rozproszeniem tych ciemności, jakie mię zewsząd otaczają, a przecież zagadka dotąd zagadką pozostaje. Nie jestem do tyla naiwnym, ażeby sądzić, iż kilkudniowemi wysiłkami inteligencyi rozwiążę zadanie, nad którem ludzkość pracowała od początków swego istnienia, — nie łudzę się ani chwili — a jednak nie mogę nie myśleć.

O śmierci wobec śmierci każdy myśleć musi. Może więcej lub mniej trzeźwo i zdrowo, może naiwnie lub nielogicznie,—ale zawsze myśli i zawsze albo próbuje przejrzeć przez ciemność, albo też patrzy w nią przez szkła swoich wierzeń. I to mu wystacza, choćby dlatego, że myśli możliwie najgłębiej, tak, jak tylko może. Kładzie on w te myśli cały zasób swej wiedzy i pojęć, szermuje niemi, jak wytrawny fechmistrz, i dochodzi do takich rezultatów, jakie wyniknąć mogą z tych środków, których do szermierki użył. I próżnobyśmy się dziwili naiwności lub nielogiczności wywodów jakiegoś prostaczka, próżnobyśmy się doszukiwali błędów w jego rozumowaniach: dla niego nie było błędów, bo myślał, jak mógł, i śmierć była mu tem, czem ją sobie wyobraził.

Śmierci zatem jest tyle, ile jest pojęć o niej. Inną ona była dla św. Augustyna, inną dla Mainländera: jeden wstępował w chórach aniołów po stopniach tronu Boga, drugi zapadał w nirwanę. A co obydwóch spotkało, to już inna kwestya. Jeżeli i Augustyn, wbrew swojej wierze, pogrążył się w nicość,—czy to zamącało ostatnie jego chwile? On zasnął tak, jak my codzień zasypiamy, z tą tylko różnicą, że my się budzić mamy na ziemi, on miał się obudzić w niebie,— a czy w czasie tego snu nie spotka go co innego, nie troskał się o to zupełnie, skoro zasypiał z wiarą w przebudzenie. Tu chodzi

o to, co człowiek przemyślał, co przecierpiał, co przeżył, nim się do snu ułożył. Jeżeli marzył — śmierć mu będzie marzeniem, jeżeli cierpiał — śmierć jest dla niego cierpieniem,— a zawsze tem tylko, co myślał o niej.

Co ja myślę o śmierci? czem ona będzie dla mnie?

Wysilam swój umysł, trawię dnie i noce na dociekaniach i widzę: będzie ciemnością, zagadką, niepojętością...

Zapadnę w nią, jak w ciemny labirynt, bez nadziei wyjścia, bez pewności zostania.

Rozpościera się przede mną szara jakaś zasłona, poza którą nie wiem, co jest i czy co jest. A ja mam tam wejść może za dni kilka, z tą jedyną pewnością, że powrotu niema.

I wiem, że przed czasem nie przedrę tej zasłony; wiem, że prędzej głowę rozbiję, niżeli jej rąbek uchylę; a jednak nie mogę nie robić szalonych wysiłków, ażeby ją przebić.

Walczę nietylko bez nadziei zwycięztwa, ale nawet z pewnością, że pokonanym zostanę, — a przecież — walczę, by zwyciężyć...

Tylko ze śmiercią taki bój toczyć można.

Czasem śmieję się sam z siebie i w chwilach nieskończonych dociekań zdobywam się na energię rezygnacyi,—ale to są krótkie bardzo przestanki. Myśl już z nałogu biegnie jednym tylko torem,—a jeżeli ją wysiłkiem zwrócę w pół drogi, nie mogę się potem oprzeć uczuciu wyrzu-

tu, że czas ciągle schodzi, a jam nic nie wymyślił jeszcze.

I to uczucie wyrzutu, jakby żalu, potęguje się tem jeszcze, że zawsze przy samym końcu takich rozmyślań następuje jedna długa chwila, kiedy myśl, wycieńczona długiem natężeniem, nie chce ulegać woli, popychającej ją ciągle dalej, na przód. I rzecz dziwna, to wyczerpanie siły myśli następuje zawsze wówczas właśnie, kiedy zdaję się dobiegać do jakiegoś końca, kiedy światło szukanej prawdy wydaje mi się już tak blizkiem, że tylko trzeba jednego silniejszego wysiłku, ażeby je ujrzeć i zrozumieć wszystko. Wstrzymuję oddech, podniecam wyobraźnię, wytężam wszystkie władze, — jeszcze jeden skok myśli—a będę u celu... i upadam.

Myśl, jak cięciwa nadmiernie przeciągnięta, pęka nagle—i broń, którą miałem szturmować niebiosy, strzaskana, udaremnia dalsze wysiłki.

Lessing powiada, że ludzie mają zwyczaj przestawać myśleć wtedy, gdy myślenie zaczyna być trudnem — i właśnie wtedy, jak jeszcze dodaje jakiś inny pisarz, kiedy myślenie stałoby się płodnem. Ale czy ono rzeczywiście stałoby się wówczas płodnem? Czy to tylko nie omamienie wyobraźni, nie zwykła iluzya wiary w potęgę rozumu?

*30 Marca.*

Jak oni jednak prędko zżyli się z tą myślą o mej śmierci! Z początku rozpaczali bardzo, Stach płakał, jak dziecko, Zosia rozpaczała — a teraz... Ona siedzi, robiąc robótkę jakąś szydełkiem, Stach czyta — i obojgu ani im może przez myśl nie przejdzie, że z każdem oczkiem bawełny, z każdą literą upływa jedna drogocenna dla mnie chwila. A przecież wiedzą już o tem na pewno, wiedzą i to, że i ja wiem także, bom im sam o wszystkiem rozpowiedział,— wiedzieli nawet wcześniej ode mnie. A jednak zmiany dopatrzyćby się nie można. Posmutnieli tylko trochę, boją się mówić głośno, — ale poza tem wszystko tak samo.

Ja się im nie dziwię zupełnie. Cóż robić mają? Trudno przez kilka tygodni łzy tylko wylewać i szamotać się bezpotrzebnie. Z największym bólem zżyć się można i schylić przed nim czoło: przecież i ja się już ze swoją śmiercią zżyłem i jestem niby spokojny, więc i oni tembardziej przyzwyczaić się do niej mogli. Wszystko więc jest tak, jak być powinno;— a jednak... jednak mnie to strasznie drażni. Dlaczego tak jest? Dlaczego śmierć jednego człowieka tak obojętnie jest przez innych przyjmowaną? Czy dlatego, że wszyscy umieramy i śmierć jest zjawiskiem powszedniem? Ależ przez to nic ona nie traci na swej grozie. Czy umieram ja tylko, czy umiera-

ją miliony,—to wszystko jedno, śmierć śmiercią będzie. Pomimo tysiąca sposobów umierania, koniec jest zawsze jednaki: jednostka znika ze świata na zawsze, na wieki, i już do niego nigdy nie powróci. Czyż w tem nie dosyć piekła, ażeby zamącić najspokojniejsze dusze?

Ja czuję całą dziwaczność takich rozumowań, sam sobie odpowiadam, że inaczej być nie może, bo gdyby świat chciał się przejmować śmiercią każdego człowieka, to jutro samby wydał ostatnie tchnienie z nadmiaru cierpienia,—ja sam innym nie byłem, a przecież nie mogę, nie mogę nie pytać, dlaczego tak jest?

I nie o ich łzy mi chodzi, bo sam wolę, że już są spokojniejsi znacznie,—ale chodzi mi o to prawo życia, które tak samolubnie względem cudzej śmierci się zachowuje. Człowiek żył, pracował, myślał, był jednem z ogniw łańcucha istnienia, — naraz ginie, znika bezpowrotnie — i to nie zakłóca w niczem ogólnego biegu życia. Przepada, jak kamień w wodzie; a spokojna fala przepływa nad nim, nie troszcząc się zupełnie, że coraz nowe ofiary pod wodę wciąż idą.

Ja wiem, że to są myśli niedorzeczne, głupie, w dodatku wyrafinowanie egoistyczne, — że tak tylko, jak jest, być musi, bo jest dobrze, — a jednak nie jestem zdolen stłumić w sobie jakiegoś krzyku, buntu, który to nazywa zarazem okrutnem.

I im więcej nazywam to prawo nieskończenie mądrem i jedynie możliwem, tem więcej się

buntuję, tem więcej dostrzegam w niem tylko rozum—a nie serce.

Wreszcie, źlem się może wyraził, mówiąc: „buntuję się.“ Bunt to nietylko niezadowolenie z istniejących urządzeń—to zarazem przeświadczenie o niedoskonałości czegoś i możliwości istnienia lepszych warunków. Jam nie do tego stopnia naiwny, ażeby się buntować przeciwko temu, co jest niewzruszone, co nawet uznaję za możliwie najlepsze; ale przecież mogę powiedzieć, czy mi się to coś podoba lub nie, czy mi z niem dobrze czy źle. Taki bunt nie zakłóci wszechświata.

Jednakże człowiek z całym swoim rozumem jest strasznie marną istotą. Obdarzony zdolnością analizy i wyczuwania wszystkiego, a pozbawiony siły twórczej nawet w dziedzinie abstrakcyi — jest jak Samson, któremu włosy obcięto. Targa się i szarpie, a nic nie może, choć wszystko widzi.

Dobrze, że Stach mój nie czyta tych kartek: nazwałby to, jak zwykle, przelewaniem z pustego w próżne, — czem to i jest rzeczywiście. Szczęśliwy, kto może, raz zgodziwszy się na to, zaprzestać daremnych trudów. Mnie to widać w manię przeszło i innym już nie będę.

*31 Marca.*

Jest coś ciężkiego, nienaturalnego w tej atmosferze, która mię otacza. Zaczęło się to od czasu

kiedy Starzecki wyjaśnił Stachowi rzeczywisty stan mej choroby, a on potem i Zosię przygotował do tej wiadomości. Wtedy to po raz pierwszy wkradła się jakaś nienaturalność w nasze stosunki. Graliśmy ciągle komedyę przed sobą, wiedząc doskonale, że ją gramy. Słowa nie tłómaczyły naszych myśli. Wszyscy myśleli o jednem, a każde starało się jak najgłębiej ukryć prawdę.

Sądziłem, że wizyta Łopackiego zrobi jakiś stanowczy przełom i albo skieruje myśli na inne tory, albo pozwoli myśleć głośno. Nie zaszło ani jedno, ani drugie. Chcąc raz już przerwać to uciążliwe milczenie o rzeczy najważniejszej, zaraz na drugi dzień opowiedziałem im wszystko, ażeby wiedzieli, że się już nie łudzę i że możemy mówić otwarcie.

Przerachowałem się jednak. Przedewszystkiem żądałem niemożliwości: bo niemożliwą jest wprost rzeczą, ażeby z umierającym mówić ciągle otwarcie o tem, że ma umrzeć,—a po drugie, przerachowałem się z własnemi siłami. Kiedy na moje natarczywe nalegania ulegli i słuchali tego, com im mówił o własnej śmierci, widziałem, ile to im sprawia cierpienia. Zosia bladła ciągle i raz po raz zalewała się łzami, Stach ścinał tylko zęby i nic nie mówił. To mnie drażniło niesłychanie. „Dlaczego — myślałem sobie—oni nie mają wyznać jasno i otwarcie, że się z faktem godzą, że już myślą o tem, co po mej śmierci

będzie?“ Bo przecież muszą myśleć... Drwiłem z nich bezlitośnie, sam z jakiemś okrucieństwem szarpałem swój ból, być może, ażeby im okazać, że mnie właśnie nic nie boli i że śmierć swoję traktuję jak rzecz najzwyklejszą. Wiem, że w ten sposób tumaniłem siebie, sztuczną odwagą zakrywać usiłowałem trwogę, co mi żarła serce. I koniecznie, koniecznie domagałem się, by i oni zdobyli się na taki cynizm prawdy. Ich trwożne miny, pomieszanie, jakie okazywali na każdym kroku, najbardziej mi były nieznośne.

Wreszcie dobiłem się swego, ale mnie to zwycięztwo za wiele kosztowało i poznałem, że mam nerwy słabsze, niż sądziłem. Kiedy raz Stach, mówiąc już niby otwarcie, jak chciałem, powiedział: „P. Zofia *po wszystkiem* zaraz wyjedzie na wieś,“ uczułem takie ściśnienie serca, jak gdyby mi je kto między kleszcze włożył. Nie, nie mogłem słuchać tego; krzyknąłem tylko: „Daj pokój!“ i już nie nalegałem na nich więcej.

Sam myśleć mogę choćby o tem, że zgniję; ale najmniejsze ich słowo rani mię, jak sztyletem. I dlaczego? Przecież nie łudzę się już zupełnie, wiem wszystko, wyobraźnia stwarza mi najstraszniejsze obrazy,—a słuchać nie mogę. Oni to czują i wystrzegają się pilnie. Ale o czemże mówić teraz? Gdzie przedmiot, któryby nas choć na chwilę mógł pochłonąć?

W pierwszych dniach prowadziłem ze Stachem długie, poważne rozmowy ciągle na temat

śmierci, z początku mojej własnej, potem wogóle. Przeważnie ja mówiłem, on słuchał, od czasu do czasu wtrącając jakieś słowo, póki się nie zapalił do dysputy. Wtedy na krótką chwilę zapominaliśmy o wszystkiem i powracały dawne czasy. Ale dosyć było jednego spojrzenia, jednego niebacznego słowa, aby znów ta straszna rzeczywistość stanęła przed nami w całej swej przeraźliwej grozie.

Teraz daliśmy pokój dysputom. Ta monotonna jednostajność treści, to ciągłe powtarzanie jednych i tych samych myśli, musiały w końcu ustać. Ja nic nowego wymyślić nie mogę, ani też zdobyć się na zaparcie siebie. Cały umysł dyszy dwoma wyrazami: „mam umrzeć!“— a przecież jemu trudno żyć ciągle moją tragedyą, bo żyje jeszcze i cały świat go pochłania. Stąd nuda teraz, przymus ukrywania swych myśli i ta nienaturalność, która mi tak ciąży ołowiem. Schodzą godziny całe, a my siedzimy, nie mówiąc ani słowa, nie wyzyskując zupełnie tych dni, których już tak mi nie wiele pozostało.

I tak do końca będzie, i odejdę z tem narzucającem mi się coraz więcej przypuszczeniem, żem nie potrafił skorzystać z tych resztek życia, żem zapomniał coś zrobić, powiedzieć...

A wobec tego nawet nie mogę pragnąć, by ten koniec odwlókł się jak najdłużej. Po co? na co? Żeby ich męczyć dłużej i cierpieć samemu? Już mnie nic spotkać nie może, dnie będą upływały.

podobne jedne do drugich, przeraźliwie jednostajne, w oczekiwaniu. Boć oni czekają... nie przyznaliby się do tego we własnem sumieniu— ale czekają... Zosia rzuciła połowę swych lekcyj, Stach także — i na kursa nie chodzi, a przecież wiedzą dobrze, że tak długo trwać nie może — więc ciągle czekają... Każdy dzień mego życia to kradzież cząstki ich swobody, to rabunek na ich własnem życiu. Ja to widzę wszystko — i nawet mi pomarzyć nie wolno, że choć z godzinę wytarguję sobie od śmierci. Przeciwnie — śpieszyć się trzeba, żeby ich uwolnić.

*1 Kwietnia.*

Otrzymałem dzisiaj dwa listy na *prima-aprilis.* Świat żywy przypomniał sobie o mnie i przesyła pozdrowienie a zarazem pożegnanie. Zdaje się, że na tem zakończą się moje z nim stosunki. Stach, domyśliwszy się po markach miejskich, jakiego rodzaju są owe listy, nie chciał mi ich oddać, mówiąc, że to pewnie głupstwa. Nie mylił się: były to rzeczywiście same niedorzeczne brednie,—a jednak te dwa świstki, zapisane nieznanym charakterem, sprawiły mi wielką przyjemność, pomimo rażącego kontrastu z mojem położeniem obecnem.

Świat, ten świat tętniący życiem, ruchliwy, słoneczny, po raz ostatni zajrzał do mego pokoiku. Napawało mię to dziwną radością, że ten

świat zalicza mię jeszcze do swego grona i żem dla niego nie umarł przed skonaniem. Jam się już go wyrzekł zupełnie, dobrowolnie zawczasu wykreślając się z listy żyjących, a tymczasem narzucił mi on przekonanie, że żyję jeszcze.

Ale na dnie takiej rozkoszy tkwi i ból dojmujący. Wszelki odblask życia po to tylko schodzi do mej duszy, ażeby tem jaskrawiej oświetlić jej wszystkie rany. To też wyrzekam się już świata i chcę go zapomnieć jak najprędzej. Niech go stracę, nie widząc, niech się nauczę go wyrzec, niech go znienawidzę, by zmniejszyć swoje cierpienia. Otoczyłem się jakby kwarantanną, nie dopuszczającą z zewnątrz żadnej wieści; przerywam rozmowę, gdy tylko mogę w niej uchwycić jakieś echa świata; a jednak i to jeszcze nie ochrania mię w zupełności. Trudnoż się ustrzedz nieraz; czasem mimowoli zadaję pytania, zapominając o rzeczywistości, z utęsknieniem witam byle okruch odblasku gasnącego dla mnie życia, by potem cierpieć jeszcze więcej.

Dziś, na przykład, Stach mimowoli zrobił mi wielką przykrość. Mówiąc o niedawnym wylewie Wisły, wspomniał coś o projektowanych bulwarach. Głupstwo to, rzecz marna, śmiechu warta,— a jednak sprawiło mi to boleść ogromną. Po co mam wiedzieć o tem, co będzie, a czego ja już nie zobaczę?

Tylko umierający może pojąć, ile jest cierpienia, jakiejś wściekłej rozpaczy w tym wyra-

zie: nie dożyję już! nie zobaczę,—tak po prostu, nigdy nie zobaczę!...

A po tem odrzuceniu świata, cóż mi pozostaje na ten dni moich schyłek? — cztery gołe ściany pokoju, dachy za oknem, dziurawa kołdra i desenie tapety. To już nie tło mego życia, lecz życie samo, bo niema nic dla mnie poza niemi...

I męczę się, męczę się, stokroć bardziej moralnie, niż fizycznie, bo mię dobija ta nicość i szarość, ta straszna nuda i nieruchomość, wśród których dogorywam. Godziny wtedy wydają mi się wiekami i chwilami zarazem; — cierpię nad tem, że cierpię i że nawet cierpieć przestanę. Wszystkie myśli plączą się i gmatwają; sam nie wiem, czego pragnąć, co robić, o czem myśleć, i znów zapadam w stan zdziecinnienia lub apatyi. Tapety, dziury w kołdrze, ściany—na nowo są przedmiotem rozmowy i myśli. Powtarza się odwieczna historya, póki nowe ocknienie nie zbudzi drzemiącej hydry. I tak ciągle, aż do znudzenia ciągle.

Czasem, gdy leżę nieruchomie, z oczyma w sufit utkwionemi, nic nie mówiąc, pasując się z cierpieniami, przychodzi mi na myśl: dlaczego ja nie korzystam z tych resztek życia, dlaczego nie mówię, dlaczego zawczasu otaczam się ciszą i nicością grobu? Przecież trzeba wyzyskać te ostatnie iskierki świadomości, nażyć się za życie

całe, coś powiedzieć, coś zrobić, użyć wreszcie i napawać się choć odrobinę rozkoszą życia.

Zaczynam wtedy mówić gorączkowo, daję rady Zosi na życie całe, dyktuję ostatnie rozporządzenia, filozofuję ze Stachem, wygłaszam paradoksy, śmieję się, ściskam i całuję ich oboje, i tak niepostrzeżenie czas schodzi.

Niepostrzeżenie! Właśnie to, że niepostrzeżenie, sprawia mi męczarnię. Z żalem i złością liczę takie minuty, cierpiąc, że mi przeszły tak szybko, żem ich nie czuł, i żem zapomniał w czasie upływania każdej z nich powtarzać sobie rozkosznej myśli: „Jeszcze żyję!“

Te minuty, te drogocenne minuty rozpraszam tak na marne, nie napawając się każdą ich chwilką, nie rozkoszując się ich istnieniem! To stracone minuty, bezlitośnie skradzione, zdarte z mego nędznego życia, jak z ołtarza. Niech je ten rozprasza, kto ich nie liczy, bo ma ich mnóstwo przed sobą. Mnie nie wolno ich tracić, bo to jedyny już skarb dla mnie, ostatni przywilej życia.

I znowu pamiętam wszystko i męczę się.

A dnie płyną i płyną...

*2 Kwietnia.*

Dziś w południe miałem dłuższą rozmowę ze Stachem. Przedewszystkiem uderzyła mię ogromna różnica, jaka zachodzi między naszemi po-

jęciami o śmierci. Nie chodzi o jej rozumienie, bo i któż ją rozumie? — ale o głębokość myśli o niej. Dla mnie śmierć wydaje się jedynym rakiem, toczącym ludzkość, jedyną jej tragedyą, wobec której wszystko jest igraszką tylko; śmierć—to prawdziwe przekleństwo, ciążące na synach ziemi. A Stach ją inaczej pojmuje. I dla niego jest ona również nieszczęściem, lecz wcale nie jednem z największych. Jest ona złem koniecznem, ale właśnie dlatego, że koniecznem, traci już na swej sile, bo jako matematyczny pewnik wchodzi w grę we wszystkich rachubach i przestaje być ślepem. Oto wzór rozumowania praktycznego, opartego nie na całem istnieniu istoty, tylko na jej życiu!

Uznając śmierć za pewnik, za niemożliwą do zwalczenia konieczność i odejmując jej wskutek tego charakter ślepej niespodzianki, ułatwiamy sobie jedynie matematyczne działania życia, odejmując lub dodając do ogólnej sumy tę wielkość niewiadomą. Mamy cmentarze, gotowe trumny, przedsiębiorstwa pogrzebowe, karawany; mamy statystykę, medycynę, nawet balsamy,— jak nowonarodzeni mają kołyski, pieluchy i akuszerki,— jednem słowem: potrafiliśmy się wyspecyalizować nawet w rzemiośle śmierci i wyodrębnić jej wydział. Rzeczywiście, możemy umierać bez obawy sprawienia komuś ambarasu, bo wszystko czeka w pogotowiu. Śmierć jest sobie dla nas takiem samem zjawiskiem, jak, dajmy na to,

zachód słońca, lub przyjazd znakomitej divy; nieboszczyka pakują do trumny, divę idziemy oglądać w teatrze — i wszystko jest w porządku. W istocie, śmierć ma już swój wydział, wciągamy ją w rachubę i świat może się nie troskać o nią więcej. Niesłychanie dogodne urządzenia... dla żyjących.

A dla konających? Czy mają się cieszyć tem, że ich grabarz dokładnie zakopie, lub stolarz trumnę dobrze zabije? Co to ma do śmierci samej? co do ich myśli, ich cierpień? co do tej zagadki, przed którą się wzdrygają?

Czego ja chcę? Ja nic nie chcę; mówię tylko i pytam. To wolno przecie. Niezłomność i nawet względna doskonałość praw wszechświata chronią nas od bezsensowych pokuszeń ich krytykowania, — aleć wolno przecież warknąć nieraz, kiedy zanadto zaboli. A Stach tego wszystkiego nie rozumie. Myśli jego jakby zatrzymują się na jakiejś granicy, kiedy moje idą dalej, coraz dalej.

Teraz dopiero udało mi się uchwycić dobrze różnicę między nim i mną, choć może powstałą niedawno. On jest typem człowieka praktycznego, czynnego, wiecznie coś, choćby w marzeniach, burzącego lub budującego. O całe niebo rozsądniejszy ode mnie, nie więzi swych myśli, jak ja, w sferach bezużytecznych dociekań, odrywających umysł od rzeczywistości. I on krytykuje, i on należy do niezadowolonych z życia; ale na

wszystkie usterki wynalazł swoje lekarstwa, i jeżeli cierpi — to nie jak ja, pod tłokiem, ale jak Tantal, wobec pokarmu, który widzi i czuje i stara się nagiąć ku sobie.

Przytem dla niego istnienie człowieka a życie—to jedno. Z prawem znikomości wszystkiego pogodził się już doskonale, i nie widząc nic przed poczęciem i poza skonaniem, stara się wyzyskać i uprzyjemnić innym i sobie tę jedyną sposobność istnienia. Na życiu opiera wszystko, dla niego pracuje, z jego stanowiska sądzi o wszystkiem. Kiedym dziś wygłosił paradoksalny wniosek, że wobec pewności śmierci wszystkim powinnyby opaść ręce, bo po co pracować i walczyć, gdy nawet nie możemy mieć tej pewności, że choć kilka dni używać będziemy owoców swej pracy,—on mi odpowiedział, że właśnie tak, jak jest, jest dobrze; bo gdyby wszyscy tak myśleli, zginąłby świat. Nie jest to odpowiedź wprost na moje twierdzenia. Ja poruszyłem zasady, on wyniki,— i w tem właśnie odbił się wyraźnie jego nastrój myśli. Dlatego też my się nigdy zrozumieć nie możemy.

Bo że tak, jak jest, jest dobrze — wiem sam i zgadzam się z jego twierdzeniem,— ale czemu tak jest, to co najmniej dziwne. Bo dlaczego my o tej *jedynej* pewności, że pomrzemy wszyscy, myślimy tak mało i nic prawie dla jej spotkania nie czynimy? Młodzieniec np. poświęca kilkanaście lat mozolnej pracy w tym jedynie

celu, żeby zostać lekarzem lub adwokatem, a nigdy niemal nie przejdzie mu przez myśl, że może cały ten trud pójdzie na marne, bo umrze, nim się czegoś dobije. Urzędnik dziesiątki tysięcy godzin ślęczy nad biurkiem, zapisując stosy papieru nic go nie obchodzącemi sprawami, jedynie w nadziei jakiegoś maleńkiego awansu, i też nie troszczy się o to, czy go doczeka.

A o śmierci nikt nie myśli, nikt się z nią w rzeczywistości nie liczy; a czemże wobec niej wszystkie awanse świata, wszystkie sławy i blaski, czem miliony, kwatryliony choćby?

I w dodatku awanse mogą ominąć, sława rozwiać się jak pył, kwatryliony niedopisać, — a jedna tylko śmierć stoi niewzruszona, jako pewny koniec wszystkiego.

Więc czemu tak mało się z nią liczymy?

Stach nie zawahałby się w odpowiedzi. Dla niego i tu jest dobrze, jak jest; bo gdyby ludzkość tydzień spędziła w takich rozmyślaniach, jedna jej połowa wystrzelałaby się z przerażenia, druga zwaryowała.

Ale to nie odpowiedź na pytanie. Nie chodzi o to, czy tak jest dobrze lub źle, bo tak jest i będzie, — ale dlaczego tak jest?

Oto dlatego, iż my wszyscy wiemy, że pomrzemy, ale nikt temu nie wierzy. Niesłusznie nazwali to paradoksem; to prawda najprawdziwsza. Śmierć stosujemy do wszystkich, tylko nie do siebie.

My wszyscy, pomimo miliarda przykładów, pomimo jaskrawej ich oczywistości, pomimo nawet najsilniejszego o tem przekonania, czynimy się wyjątkami w ogólnej regule. Nikt się do tego nawet sobie nie przyzna, potrafimy nazwać to idyotyzmem, śmiać się z własnej głupoty, a jednak... jednak... nie wierzymy. Ta najdziwaczniejsza z dziwacznych niewiara nie występuje może nigdy w umyśle jako jasno i dobitnie sformułowane twierdzenie, ale tkwi gdzieś po kącikach inteligencyi, jako instynktowy, wrodzony głos. Nie wiemy, że go mamy,—a on jednak wchodzi w grę myśli i wpływa na nią.

I nigdy, nawet w najtajniejszych tajnikach myśli, nie mówimy sobie: „nie umrę.“ Nie, toby się wydało zanadto niedorzecznem, dzikiem. .ny tylko do nieskończoności odkładamy śmierć naszą, odsuwamy ją tak głęboko gdzieś w dal, że nam już niknie zupełnie z oczu. Lata życia płyną, ale śmierć się nie zbliża nigdy; ona także odpływa z latami i zawsze jesteśmy od niej w równej odległości. Rozum temu przeczy, ale ten głosek utajony, niepochwytny, wstydliwy, ciągle szepce do ucha: „A może, a może.“ I na co wówczas człowiek liczy, to najmniej zrozumiałe; zapewne na Boga w niebie, na eliksir życia,— a może na to, na co jeszcze liczy skazany ze stryczkiem na szyi: „Bo kto wie?“ „A gdyby tak rzeczywiście...?“

W tem właśnie tkwi źródło tej dziwnej obojętności wobec śmierci, i temu ludzkość zawdzięcza swoje istnienie i cywilizacyę.

Bo i któżby chciał pracować, tworzyć coś, poczynać, gdyby nie ta nieświadoma wiara w nieśmiertelność niemal,—nie tam gdzieś w niebie, ale tu, na ziemi? Ktoby chciał znosić cierpienia bez tej nadziei, że się kiedyś skończą i nadejdzie czas na spożywanie owoców?

Dlaczego ludzie mieliby kochać? walczyć? nieść siebie w ofierze? Przez altruizm? Głupstwo. Co komu po miłości, jeżeli mu ona nie przysporzy ani godziny istnienia? Co komu po zadowoleniu własnem, skoroby go czuć nie miał?

Nie pozujmy na ideały. Mosso wynalazł, gdzie się w mózgu mieści zwój nerwowy, odpowiadający miłości macierzyńskiej. Kto go ma w stanie zaniku, nazywa się potworem,—kto go ma w stanie przerostu, odbiera hołdy świata. Jeżeli więc to prawda,— to gdzież zasługa lub wina? Kto winien temu, że mu tam coś w mózgu przerosło lub zanikło, jeżeli się takim urodził?

A przecież czułe matki tak się szczycić potrafią swą miłością dla dzieci! Niech wiedzą, że tylko jakimś węzełkom mózgowym zawdzięczają swą idealność i że gdyby ich nie miały, mogłyby równie czule podusić swoje dzieci.

Nie składajmyż więc i my naszych altruizmów jedynie na karb idealności naszej natury, bo mo-

gą się odnaleźć ich źródła takie ciemne, takie ślepe i takie nieświadome, jak węzełki Mossa.

*3 Kwietnia.*

Piszę przy Zosi. W ostatnich dniach nie kryłem się z tem wcale. Zapytywali mię kilkakrotnie, co piszę, alem ich zbywał niczem. Od kolejnego dozorowania kolegów jużem się uwolnił nareszcie. Zapowiedziałem Stachowi, żeby mi ich nie sprowadzał. Nic mię tak nie drażniło, jak ich głupie rozmowy i chęć brania mię w kuratelę. Im się zdaje, że człowiek chory lub dogorywający utraca część swojej niezależności i staje się tłomokiem, służącym do wyładowania wszystkich ich zapasów litości, współczucia i miłosierdzia. Niemoc fizyczna nie świadczy chyba jeszcze o niedołęztwie umysłowem: przeciwnie, niemoc ciała zaostrza tylko wrażliwość nerwów i wysubtelnia umysł. Siły żywotne zaoszczędzone w jednym kierunku, aż do zbytku. Umysł mój teraz jest tak wrażliwym na oddziaływanie zewnętrzne, że najmniejszy odcień w tonacyi głosu, najlżejsze poruszenie muskułów twarzy nie uchodzi mej uwadze. W zdolności domyślania się dochodzę często do absurdu, gdyż nieraz wytwarzam sobie rzeczy nie istniejące, czem męczę tylko siebie i innych. Doszedłem do tak strasznego rozdrażnienia, że we wszystkiem wyszukuję powodów do urażania siebie. Nic nie po-

maga refleksya i wchodzenie w położenie innych; ja muszę wszystko na swoję modłę przerobić i po swojemu tłómaczyć. Wiem, że to urojone chimery, chorobliwa egzaltacya; a jednak nie jestem zdolen zapanować nad własnemi nerwami, które nieraz szaleją, i tak przygnębiam się jeszcze własnem przygnębieniem.

Ot rozmowy kolegów moich: o czemby mówić powinni, sam nie wiem, ale każde ich słowo doprowadzało mnie niemal do wściekłości. Jeżeli mówili głosem przyciszonym, ze współczuciem i z chęcią dostrajania się do kamertonu smutku i żałoby, jaki naturalnym biegiem rzeczy zapanował teraz wobec mnie,—rozstrajało mię to w najwyższym stopniu, wywołując nieprzepartą chęć drwienia z nich wszystkich i z ich współczucia. Nie potrzebuję ich litości, tej litości zdawkowej, nic nie kosztującej, udzielanej jak jałmużna nędzarzom moralnym.

Nawet Stach i Zosia, nawet te anioły miłości, są nieraz przedmiotem mej chwilowej nienawiści, bo są takie chwile, że z rozkoszą igram z ich uczuciami, napawając się zadawaną torturą. Jestem zły, szorstki, bezlitośny,—wiem o tem sam dobrze; ale właśnie to, że sam widzę swą winę, popycha mię jeszcze do coraz złośliwszych wybryków. Im bardziej czuję się szatanem, tem bardziej staram się na jego miano zasłużyć. Czasem i na dnie piekła rozkosz leży; może szatańska, potworna, ale zawsze rozkosz. Chore du-

sze, jak moja, lubują się we wszystkiem, co wyrafinowane, bądź w dobrą, bądź w złą stronę.

I dziś zatrułem im i sobie kilka godzin. Poszło, jak zwykle, o rzecz marną, o drobnostkę,— a jednak doprowadziłem Zosię do spazmów, a Stacha do przygnębienia.

Ni z tego, ni z owego, odezwałem się głośno, że wartoby sobie nowe kamasze sprawić. Powiedziałem to naturalnie bez żadnej myśli, ot tak sobie, aby coś powiedzieć. Takie błędy robię coraz już rzadziej, przyzwyczaiłem się już bowiem do konsenkwencyi w swojem nowem położeniu.

Zosia jednak wzięła mię za bardziej naiwnego, aniżeli jestem w istocie. Zaczęła skwapliwie popierać mój projekt, wypytując się o wszystkie szczegóły. Chciała biedaczka za cenę kilku rubli oderwać mię na chwilę od rzeczywistości, wmawiając, że kamasze są mi rzeczywiście *potrzebne.*

Ta jej nagła chęć dogodzenia mej fantazyi uderzyła mię odrazu. Nie potrzebowałem i ćwierci sekundy zastanawiać się nad tem. Cały szereg myśli, powiązanych jedna z drugą nieubłaganą konsekwencyą, przemknął mi przez głowę.

Jednę połowę serca przepełniala mi wdzięczność dla Zosi za jej miłość, druga nasiąkała goryczą, żem się dał tak zaskoczyć. Gorycz przeważyła. Nerwy moje są do tego stopnia chore, obolałe, a więc przeczulone, żem niezdolny oprzeć się ich parciu. Staczam się tam, gdzie mnie one

tem czytać te fantasmagorye—i to jeszcze skutek wątpliwy.

Wreszcie, albo ja sam wiem, czego mi się chce, czemu można wierzyć. Od dziecka już wyrabiałem w sobie odporność względem wszelkich zabarwień tendencyjnych. Teraz przeszło mi to w manię i jestem oponentem nie z przekonania, ale z temperamentu i charakteru. Przyznaję się do tego najzupełniej, sam się nazywam głupcem, a przecież nie mogę się pozbyć tej wygryzającej wszystko przyprawy umysłu. Stach mi często głupstwa za to mówił i przepowiadał, że w końcu sfiksuję zupełnie na tym punkcie, a ja mu nawet dopomagałem w wyszukiwaniu najgorszych na siebie epitetów,— ale cóż robić? Przecież, jeżeli to jest złem, niedorzecznem, ja sam cierpię nad tem najwięcej, a jeżeli się nie zmieniam, to widać dlatego, że nie mogę. Gdyby mi jakiś czerwonoskóry zrobił przytyk do białości mej skóry, jako rzeczy, dajmy na to, nieprzyzwoitej, — to choćbym się nie wiem jak zapłonił ze wstydu i silił na zmianę swego ubarwienia, czerwonym się przecież nie zrobię. Jeżeli mi kto powie, żem wypaczony, zły, głupi,—odpowiem mu na to: „Zgoda,“— ale niech mnie wyprostuje, zrobi dobrym i mądrym. Ja mu się u nóg z wdzięczności czołgać będę,— ale niech to zrobi.

A dziś, czy nie robiłem sobie tych samych wyrzutów?

Nazwałem się po prostu podłym, bo byłem podłym,— ale co mi z tego? Dziś ich przeprosiłem, a jutro będzie to samo, jeżeli nie gorzej,— i tak do końca.

Co oni winni, że mnie kochają, a wskutek tego przesadzają w chęciach dogadzania mi, odgadując najtajniejsze moje myśli, których się wstydzę? Co oni winni, że mnie niedorzeczne nadzieje przychodzą do głowy? Co winni, że mnie Starzecki od kilku dni durzy tem lekarstwem?

A przecież była dziś scena okropna! Brnąłem tem głębiej, im więcej czułem się słabym, na litość zasługującym. Ja nie chciałem im dokuczyć, jam siebie chciał zagłuszyć. Bo biedny ja już jestem — muszę się bronić przed samym sobą.

*7 Kwietnia.*

. . . . . . . . . . . . . . . . .

Dotychczas usiłowałem walczyć ze śmiercią, a raczej sam z sobą. Ale to już nad siły moje... Poddaję się zupełnie z wyczerpania. A niech tam! — już mi wszystko jedno. Dzisiejszą wiadomość od Starzeckiego usiłowałem jeszcze spotkać dumnie, kryjąc się z przygnębieniem. Ale w końcu runąłem energią. Rzucałem się jak szaleniec, przeklinając wszystkich i wszystko, jęczałem głośno, płakałem... A niech tam!... Co mnie już oni wszyscy obchodzić mogą? Niech

istnieć przestało. „Ja,“ „ja,“ „ja!“ — powtarzam sobie ciągle i brak mi imaginacyi na przypuszczenie, że przyjdzie chwila, kiedy już tego nie powtórzę.

Takie silne poczucie żywotności swego „ja,“ zdawałoby się, powinno mię doprowadzić do wiary w jego nieśmiertelność — ale, niestety, sen codzienny i nieistnienie przed urodzeniem dostatecznie silnie potrafią rozwiać te złudzenia. Jeżeli nie istniałem już przez jednę część nieskończoności i tracę świadomość za każdem przyłożeniem głowy do poduszki, — to możliwem jest, że i przez drugą część nieskończoności istnieć nie będę.

Śmierć może być dalszym ciągiem tego bytowania, jakie było przed poczęciem. A czem nazwiemy to bytowanie — drzemką, niebytem, nirwaną — wszystko jedno, kiedy nie można „jestem!“ wykrzyknąć. Życie — to epizod istnienia wszechświata. Powstajemy z nicości, jak mary, powołane przez jakieś siły nieznane, chwil kilka migocemy, jak skierka na wietrze, i znów zapadamy w tę nicość, z którejśmy powstali.

Stach mi lekarstwo nalewa. Na co ja te paskudztwa wypijam, — to nie wiem, doprawdy. Starzecki jeszcze się przy nich upiera i pakuje ich we mnie coraz więcej, zadowolony, że chcę zażywać. A mnie już, co prawda, wszystko jedno. I od gorączki obiecał mi coś przynieść. Ciekawym bardzo. Ma to być podobno jego wła-

snego wynalazku, tylko nie wypróbowane jeszcze. Czy on mnie tylko nie durzy?

*6 Kwietnia.*

W ostatnich czasach Stach czytywał mi głośno codzień po kilka godzin. On się przy tem upierał, utrzymując, że mię to rozrywać powinno, — ja jednakże najczęściej myślałem zupełnie o czem innem; bo i cóż mi teraz do tego, jakie ma Carlyle pojęcia o bohaterach, albo jakie były urządzenia społeczne u starożytnych Inków i Azteków? Co mię to może obchodzić? On niech sobie czyta, jemu to się przyda, — ale mnie?

Ostatnie jednak dwie książki zajęły mię bardzo, bo traktowały o śmierci i życiu zagrobowem. Stach umyślnie widać wybrał to dla mnie. Słuchałem chciwie, siląc się, aby uwierzyć. On, nie wiem, czy udawał, czy naprawdę, ale utrzymywał, że mu się wywody autorów wydają dosyć prawdziwemi. Ale ja nie mogłem się dać otumanić. Byłbym oddał z rozkoszą te resztki życia, by tylko módz zahaczyć o cośkolwiek swój błędny umysł — i nie mogłem. Zresztą jednego z autorów nie rozumiałem zupełnie i nawet nie starałem się o to, zniechęciwszy się odrazu dziwacznem jego tłómaczeniem istoty *ja*. O drugim (Figuierze) niema co mówić: stek niedorzeczności, podlany naukowym sosem. Trzebaby najpierw dostać pomieszania zmysłów, a po-

*5 Kwietnia.*

Drugi już dzień z rzędu piszę w łóżku, kładąc papier na podkładce z tektury. Trochę mi niewygodnie, ale nie można inaczej. Sądzę, że już się nie podniosę ani razu. Dziwna rzecz, iż myślę o tem tak spokojnie; przed kilku dniami zamierało mi serce na samo przypuszczenie tej konieczności,— a teraz, doprawdy, traktuję to zupełnie chłodno. Być może, iż jest to wynikiem wyczerpywania się sił umysłowych, bo te wszystkie dramaty dyablo dużo musiały ich spożyć.

Coraz częściej miewam chwile zupełnego ogłupienia. Godzinami całemi oddaję się kontemplacyom nad symetrycznym deseniem dywanika nad łóżkiem — i bawię się dosyć dobrze, przymrużając to jedno oko, to drugie, dla wypróbowania, którem lepiej widzę. A w dodatku i cały deseń inaczej się wydaje prawemu oku, a inaczej lewemu: raz kratki są węższe a dłuższe, to znowu szersze a krótsze. Jednem słowem, zabawka doskonała. Zosia tylko nie może pewnie pojąć, czemu się tak uparcie w ten dywan wpatruję i miny oczami wyprawiam.

Ale mnie z tem coraz lepiej. Mam ciągle takie wrażenie, jakby mi się nie chciało myśleć, tak, jak mi się nie chce ręki wyciągnąć, lub na drugi bok przewrócić. Gdyby nie zupełna przytomność, mógłbym to nazwać drzemaniem.

Noc dzisiejszą miałem dość przykrą. Gdym zasypiał około północy, powoli zatracając świadomość, przyszło mi naraz na myśl, czy to czasem nie jest konanie. Teraz nie wiem już dobrze, czym wierzył temu, czym też przypuszczał tylko. To pamiętam jedynie, żem się zaczął wysilać na trzeźwość, gwałtem trzymając oczy otwarte, borykając się z sennością, ogarniającą mię coraz bardziej. Niesłychana bujność myśli była tłem tych zapasów. Mózg mój jakby się rozpadł na kilka części i każda z nich myślała oddzielnie, jednocześnie z drugiemi, nie przeszkadzając jedna drugiej. Możnaby to nazwać wielokrotnemi myślami. Jest to zjawisko tak dziwaczne, że nawet ściśle określić się nie da, choćby dlatego, że w zasadzie przeczy zdrowemu rozsądkowi. Tylko my, umierający, może jesteśmy podatni do tego rodzaju eksperymentów, bo u nas logika koziołki wywraca.

Dziś rano pierwszą moją myślą było: „Żyję jeszcze!“ Ja już od dawna w ten sposób dzień witam. I właśnie wtedy wydaje mi się rzeczą wprost niemożebną, żebym ja mógł umrzeć kiedykolwiek. Bo i jakże to będzie? Jakim sposobem może nadejść taka chwila, kiedy nie będę mógł „jestem!“ wykrzyknąć?

I nie jestem wówczas w możności wyobrazić sobie swojej śmierci. To moje „ja“ tak dalece wydaje mi się przytomnem i niezbędnie żywotnem, że nie mogę żadną miarą uwierzyć, aby

poniosą, mimo protestów rozumu, mimo rozkazów woli. Zacząłem wmawiać w Zosię, że się uśmiechnęła szyderczo, kiedym wspomniał o kamaszach, choć ona biedna ani pomyślała o tem. Wyrzucałem jej brak serca, obwiniałem o okrucieństwo, oskarżałem o wyrafinowaną chęć dokuczenia mi, zatrucia ostatnich dni i t. d., i t. d.

Czegom ja nie wygadywał!

A ona, potulna, strwożona, we łzach cała, nawet nie próbowała się usprawiedliwiać. Patrzała na mnie szeroko ze zdumienia otwartemi oczami, potem po cichu zaczęła się skarżyć Stachowi i jego brać na świadka swej niewinności. A w ręku trzymała jeszcze woreczek, z którego przedtem chciała wyjąć pieniądze na te nieszczęsne kamasze. Ja to wszystko widziałem, wszystko rozumiałem doskonale, nawet i to, że gotową była, dla dogodzenia memu wybrykowi, poświęcić tyle pieniędzy, zapracowanych tak ciężko,—uznawałem całą swą winę; ale właśnie dlatego, żem się czuł tak dalece winnym, bezczelnie trwałem przy swojem. Skończyło się, jak się zwykle kończą tego rodzaju sceny: Zosia uklękła przy fotelu, zaczęła mię ściskać i całować po rękach, po szyi, póki moje rozdrażnienie ze łzami nie spłynęło. Ach! śmierć jest przedewszystkiem złośliwą jędzą, spoczwarzającą serca, zatruwającą mózgi. Śmierć—to nie czuła i tkliwa scena z końca dramatów Dumasa, — to ohydny proces rozkładu umysłu i ciała.

Ginąć gdzieś w burzach żywiołów, w kataklizmach życia, wśród walki i zmagania się — zgadzam się na to,— ale tak konać, tak nędznie, marnie, w czterech ścianach, — to już nie okrutnie nawet, to obrzydliwie.

Bo nie konam, tylko gniję powoli, spokojnie wydychając życie. Nic niema wielkiego, wzniosłego w takiej śmierci. Jestem dogorywającym nędzarzem, niczem więcej. Żaden powieściopisarz z całego świata nie potrafiłby osnuć wątku opowiadania na takiej śmierci.

Szaro tylko, płasko, nudno, przeraźliwie nudno.

*4 Kwietnia.*

Co za czas okropny dzisiaj! Nieba nie widać zupełnie, nawet chmur, poprzez te drobiny wody, powoli opadające w powietrzu. Nawet wiatr nie zawyje. Monotonny plusk wody, tłukącej się o dachy, wdziera się w uszy i siebie tylko słyszeć każe. Przestrzenie wypełnia szara wilgoć, ponura, bo bezbarwna, straszna, bo nieubłagana, przeciskająca się wszędzie, nawet w duszę. Drga mi nerw każdy. Czuję to tak wyraźnie, że aż drżę. Po raz pierwszy doznaję cierpienia całego ciała. Ból wcisnął się nawet we włosy, paznogcie, kości — i czuję, że je mam.

A ten plusk monotonny, jak dzwon pogrzebowy, jęczy, zawodzi i łka...

na pastwę plugastwu ziemi; to wieko znów trumny zapada nade mną na zawsze i słyszę wśród tej przeraźliwej ciszy łkanie Zosi. Ta pewność, ta okropna pewność, że to wszystko tak będzie rzeczywiście, że już może za tydzień zaścielą to łóżko, gdziem się tak długo wymęczył — pogłębia jeszcze tę otchłań ponurą. A te godziny nocy tak idą powoli, tak bezlitośnie przedłużają te chwile męczarni!

Co robić? Jak się uwolnić od tych mar rozigranej wyobraźni? Nie mam serca budzić biednego Stacha, który i tak jak cień już wygląda. Jego wybladła twarz, którą widzę ciągle tuż przy sobie na fotelu, zmożoną snem i trudem, leży mi ciężarem na duszy, jak wyrzut sumienia, jak ofiara mych dni konania.

„Oto jest śmierć!“ — powtarzam sobie — oto czem jest ta śmierć. Wysysa soki życia z żywych i konających, sieje miazmaty choroby na wszystko dokoła, zdradliwie wszczepia w zdrowie nasiona swoje, aby potem tylko plony zbierać. I nietylko życie odbiera nam ona. Okrada nas z serca i rozumu, wydziera wszystko, co tylko lepszego w głębi nas tkwiło, pozostawiając męty jedynie i szumowiny duszy, aby było czem żyć — na dni ostatek.

„Oto jest śmierć, tak ona wygląda!“

A tymczasem zegar powoli wydzwania godziny. Słyszę północ, pierwszą, potem drugą

i trzecią, a mimo to sen nie przychodzi ukoić spragnionych powiek.

Melancholia jakaś dziwna, jak wilgoć, wsiąka w duszę, czarna noc kirem zabarwia wszystko—no i smutno, przykro, nieznośnie...

Tak schodzi noc cała, tak schodzą wszystkie prawie,—a ja... ja płaczę rano z żalu, że *już* przeszła. Już nie wiele tych nocy. Przyjdzie jedna, którą spędzę w mroźnym kościele, z zabitem trumny wiekiem na zawsze, potem spocznę tam gdzieś w ziemi głęboko, jako trup, wśród trupów, tym razem już zupełnie na zawsze... i skończy się wszystko.

Aach!...

. . . . . . . . . . . . . . . .

Czemu ta Amelka nie przychodzi tak długo? Jedenasta wybiła, Stach mię już ubrał w świeżą koszulę, posprzątał wszystko, a jej jeszcze niema. Pragnę jej bardzo. Nie widzieliśmy się już od roku chyba! Ona taka dobra, taka zawsze wyrozumiała i kochająca!

Wiem, że będą straszne sceny, lamenty i płacze. Ona, choć tak silna wolą, zahartowana w cierpieniu, ma za wrażliwe serce, żeby się mogła zdobyć na spokój: kochając mnie nad życie, jak matka prawie, boć ją nam zastępowała, najwięcej może z nas wszystkich cierpieć będzie. A ja się teraz boję wszelkich łez i wybuchów. Nie mam już czem kochać nawet. Skołatany, rozbity umysł nie słucha rozkazów serca. Mogę ją źle

Zosia, nie chcąc mi całej prawdy powiedzieć, umyślnie rzuciła wtedy podejrzenie, że ona miejsce traci. Teraz i tego wybiegu nie potrzeba,— raz, że to święta, a po drugie, że teraz o wszystkiem można mówić otwarcie.

Muszę im być wdzięcznym za to, oceniam ich przywiązanie i ofiary; — a jednak, jak mię to wszystko drażni niesłychanie! Przygotowują się do mej śmierci, każdy ich krok jest obmyślony, wyrachowany, a wszystko do jednego tylko zmierza: do tej chwili, kiedy trupem będę. Czemuż trumny jeszcze nie zamówili?—to już tylko dziwnem dla mnie. Ręczę, że Amelka już myśli o żałobie. Naturalnie, praktyczność i oryentowanie się w sytuacyi— to rzecz bardzo pożyteczna, a nawet chwalebna, a jednak... jakie to wszystko bezlitośne, podłe, okrutne!...

Czekają, kiedy ostatnie wydam tchnienie, kiedy nareszcie będą mię mogli zakopać w ziemię. Już im się sprzykrzył ten suchotniczy szkielet, leżący na łóżku, z gasnącą iskierką życia, — który skonać nie może, a może i nie chce... Naturalne to wszystko, strasznie naturalne. Nie mogę mieć nawet do nich żadnej urazy, bo sam do siebie wstręt już uczuwam. Suchoty— to nie śmierć na kwiatach, to nie poetyczne pożegnanie ze światem. Tu paskudztw pełno, zaduchu, zgnilizny, odoru lekarstw i potu,— zakażenie fizyczne i moralne. Dumas brednie plecie. On nie konał na suchoty, on nie ma prawa mówić o nas.

Całe rozdziały z jego powieści, w których mówi o suchotnikach—to poetyczna aberacya mózgu. Gdzie on widział tych potępieńców ze słowami miłości i słodyczy, jakie im w usta wkłada? Gdzie on się dopatrzył tego altruizmu i poświęcenia, jakie z ich słów wieją?

To nieprawda! Egoizm chwyta nas w swe szpony i wszystko nam z serca wyjada. Co nam po świecie całym? Niech ginie, niech przepada, skoro my już z niego korzystać nie możemy. Idee społeczne? szczęście? dobro? prawda? Co one nas obchodzą? My tylko konamy — z zawiścią, z przekleństwem, że na nas przyszła kolej wykluczenia.

*9 Kwietnia.*

Ach, te noce bezsenne! Jakie one długie, okropne!

Lampa się pali gdzieś w kącie na podłodze, dając jakieś niezwykłe, szpitalne oświetlenie; zegar bije powoli godziny, cisza monotonna dokoła, taka głucha, że aż ogłuszyć potrafi; wszystko śpi, spoczywa,—ja jeden tylko czuwać muszę, bić się z myślami, bredzącemi na najdziwaczniejsze tematy. Gorączka rozpala krew i podnieca chorobliwie wyobraźnię. Straszliwe widziadła, jak mary, przeciągają przed oczami duszy. To widzę się martwym w trumnie na katafalku, obstawiony świecami; to leżę już w grobie, oddany

Dlatego też zdziwiłem się bardzo, ujrzawszy ją dzisiaj. Powiem nawet, że mię do pewnego stopnia ujęła jej uprzejmość i chciałem ją przyjąć jak najserdeczniej. Z taką jednak ostrożnością pocałowała mię w czoło, tak gorliwie ścierała ukradkiem z ręki ślady moich ust, że mnie to musiało zrazić cokolwiek. A przytem byłem już i tak wycieńczony strasznym atakiem kaszlu, jaki przebyłem na kilka minut przed jej przybyciem. Wymówiłem się więc zmęczeniem, zdając trud bawienia gościa na Stacha. Przez cały czas ich rozmowy myślałem o tem wycieraniu rąk po moim pocałunku, ciągle starając się usprawiedliwić przed samym sobą ten fakt i uznać za naturalny. Udało mi się po części, bo ja już niczemu się teraz nie dziwię. Bolało mnie to jednak strasznie i przejmowało wstrętem.

Wreszcie ciotka zwróciła się do mnie, mówiąc coś o wyjeździe na wieś, o swej gotowości przyjścia mi *w razie potrzeby* z pomocą, a nawet, zdaje się, zaproponowała mi—powstydziwszy się trochę dla ceremonii—pożyczkę. Na pierwsze uśmiechnąłem się gorzko, co do drugiego — szorstko prawie odmówiłem. Na tem się też skończyło. Wstała nakoniec, by się pożegnać. Uścisnąłem tylko podaną mi rękę, nie dotykając wcale ustami. To ją zaambarasowało trochę. Chciała jeszcze coś mówić, ale ją powstrzymała oschłość, z jaką odpowiadałem. Wahającym się krokiem postąpiła ku drzwiom, sama nie wiedząc, na co

się zdecydować. Wreszcie odwróciła się ku mnie i powiedziała:

— Do widzenia, Józieczku!

W głosie jej rozpoznałem najwyraźniej łzy. To mnie rozbroiło. Przytem i we mnie zaszła raptowna zmiana. Te wyrazy „do widzenia“ uprzytomniły mi ich znaczenie zupełnie przeciwnie.

A przecież to rzeczywiście, rzeczywiście widziałem ją po raz ostatni, zupełnie po raz ostatni! Już nigdy, ani na tym, ani na żadnym świecie, nie zobaczę jej więcej. Każde pożegnanie jest przykrem, poważnem, a cóż dopiero takie! To też mimowoli przejęliśmy się tem oboje. Ona nie zważała już na swoje ręce, ja czułem tylko rozdzierający żal. Ściskaliśmy się jakoś nerwowo, spazmatycznie, płacząc i mówiąc coś bez związku.

Wreszcie Stach nas rozłączył, siłą wyprowadzając ją z pokoju. Była już na schodach, kiedym ją zawołał jeszcze, chcąc chociaż we drzwiach zobaczyć jej twarz po raz ostatni. Wpijałem się niemal oczami w jej rysy, jakby pragnąc na wieki wyryć sobie w pamięci ten obraz.

„To już po raz ostatni, zupełnie ostatni!“— dźwięczało mi w uszach ciągle.

Tylko ten, co umiera, może pojąć do głębi słów tych znaczenie. Zupełnie, zupełnie po raz ostatni!

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Amelka przyjeżdża dziś w nocy. Przyjeżdża, naturalnie, aby spędzić razem ostatnie chwile, jakie mi pozostają.

sobie myślą, co chcą, niech się śmieją, drwią choćby. A niech tam... ja konać muszę. Nie mam już mocy nad sobą, żeby się kryć z rozpaczą i własną słabością. I czemu oni nie śmieją się ze mnie? Niech się śmieją, chcę tego, niech mnie zabiją śmiesznością, — tylko... tylko niech się nie litują nade mną.

A wreszcie już i to mi jest obojętnem. Wszystko jedno, aby się to zakończyło jak najprędzej. Już nadto cierpię... Ukojenia pragnę...

A on to tak zimno, tak spokojnie powiedział o tem lekarstwie. Mnie krew lodowaciała, kiedym mu w twarz patrzał, dech wstrzymałem, aby lepiej każde drgnięcie głosu uchwycić — a on to tak spokojnie powiedział...

Niema lekarstwa i nie będzie; po prostu niema. Wielu rzeczy brak na świecie, — to bardzo naturalne; ja nieraz jeść co nie miałem — więc i to naturalne — wszystko naturalne, tylko głupcy takim rzeczom się dziwią. To trzeba znosić spokojnie, filozoficznie takie różne „niema,“ bo to mur, o który głowę tylko rozbić można.

A jednak ileż to okrucieństwa, ileż wyrafinowanego znęcania się tkwi nieraz w takiem jednem słowie ,,niema.“

Możesz palce gryźć z bólu, duszę drzeć w kawały, krzykiem rozwalać niebiosa, — ale tego muru ,,niema“ nie przebijesz!

Medycyna! Nauka! Doktorowie! gdzież wasza potęga? Patrzcie! tu robak powoli wyżera mi

z piersi życie! nędzny robak, tak mały, że go dojrzeć nie można, — a jednak, on, taki nędzny, taki mikroskopijny, urąga waszej potędze! Tysiące tomów zapisano o jego istnieniu, tysiące mózgów wysusza badawcza praca, — i gdzież są owoce tych trudów? Robak, czy roślina, bo nawet i tego nie wiemy, — pod okiem naszem wykonywa swoję pracę, drwiąc sobie z naszych mozolnych i bezowocnych dociekań. Trzecia część cmentarzy świata — oto jego pracy owoc! I któż z nas silniejszy? czy on, mikroskopijny i bezświadomy, — czy my ze swemi szkłami i wiedzą? Czy on, zaścielający cmentarze naszych ciał prochem, — czy my, zapisujący stosy bibuły opowieścią, jak on wygląda i jak nas zjada powoli? Kto silniejszy?

*8 Kwietnia.*

A więc już się zaczynają pożegnania ze światem. Są osoby, są wypadki życia, którym już nie można powiedzieć; „Do widzenia!“

Ciotkę moję pożegnałem dziś na wieki. Bo wiem, że nie przyjdzie już więcej; a i dzisiejszą wizytę uważała pewnie więcej jako sposobność umartwienia wielkopostnego, aniżeli jako dług, spłacony obowiązkom rodzinnym. Nie byliśmy nigdy zbytnio czuli dla siebie: Ona usunęła się od nas pierwsza, bojąc się może, byśmy czego od niej nie zapotrzebowali. Próżna obawa. Ręki żebraczej nie wyciągałem do nikogo nigdy.

przyjąć, zadrasnąć czemkolwiek. Moje zgryźliwe usposobienie potrafi byle z blahostki wysnuć nitkę jadu.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

*wieczorem.*

Z przyjazdem Amelki rozjaśniło mi się jakoś wszystko dokoła. Już nie umrę jak nędzarz ostatni. Nie wiem dlaczego, pomimo że mię Stach i Zosia nie opuszczali dotąd ani na chwilę, nie mogłem się oprzeć uczuciu jakiegoś osamotnienia i braku opieki i troskliwości. Zdawało mi się ciągle, że jestem rzuconym gdzieś w pustyni, gdzie niema ludzi i współczucia. Amelka wszystko to rozproszyła. Jej umiejętność obchodzenia się z chorymi, doświadczenie, a może i ten stygmat trosk, jakie przeżyła, czynią z niej prawdziwie idealną opiekunkę innych cierpiących.

Zosia — to dziecko jeszcze, naiwne, niedoświadczone, roztrzepane; Stach, — choć to serce złote, też nie podatne do subtelnych uczuć,— oni nie potrafili wejść w moję duszę i zrozumieć tego, co się w niej odbywa. Wreszcie kochają się nawzajem, a to już dostatecznie wypełnia im życie. Rządzą się tylko pierwszem uczuciem, przerzucając się sercem z jednych skrajności do drugich. Potrafią tak dobrze śmiać się, jak płakać, byle tylko był do tego bodziec zewnętrzny.

To mię rozstrajało najwięcej. Ja panowałem nad nimi, nastrajając w jednę lub w drugą stronę, zawsze pewien skutku. Grałem na ich nerwach, jak mi się tylko podobało, nie czując żadnego hamulca. A że każde wirtuozowstwo męczy, więc i ja się tem wytrawiałem.

Amelka — to zupełnie co innego. Ona jest zawsze sobą, nastraja się sama i nastroju tego innym udzielić potrafi. Już nie ja nią, ale ona mną rządzi, słodyczą swą i dziwną powagą zmuszając do uległości. Przez te kilka godzin zdążyła już uczynić się niezbędną dla mnie. Wszystko przez jej ręce przechodzi, wszędzie jej pełno, a jednak umie się jakby unicestwiać zupełnie, choć czuje się jej obecność. Sam nie wiem, czemu tak ulegam jej wpływowi,— to uznaję tylko, że mi z tem dobrze i nad wyraz błogo. Już zdążyła wymódz na mnie kilka ustępstw dobrotliwym swym uśmiechem i przekonywającem słowem, to odradzając palenie papierosów, to prosząc potulnie prawie a jednak stanowczo o przyjęcie lekarstwa. Jak przeczuwałem, nie obeszło się bez płaczu i łkań przy powitaniach. Amelka jednak z zadziwiającą przenikliwością i taktem potrafiła skierować we właściwą stronę nadciągającą burzę. Nadmierne podniecenie nerwowe, zamiast wybuchnąć rozpaczą lub zgryźliwością, spłynęło spokojnie w cichej skardze, wyszeptanej drżącemi usty.

Kiedy weszła z Zosią, i rozbierając się, patrzyła na mnie z jakimś smętnym uśmiechem, odrazu uczułem dziwną ulgę, jakby uspokojenie, że nie będę już odtąd samotnym, bo ona mi te resztki życia rozjaśni. Uniosłem się na łóżku, wyciągając do niej ręce, jakbym matkę witał. Amelka zbliżyła się szybko i, nie dając mi przyjść do słowa, zaczęła ściskać i obejmować z całej siły. Coś mię w gardle dławiło. Chciałem mówić, płakać, choćby jęknąć wreszcie, i nie mogłem. Czułem jej pocałunki po całem ciele, byłem niemi zasypany po prostu. Ona walczyła ze łzami, i jej gardło nie chciało przepuszczać głosu. Wymawiała jakieś głoski bez treści, raczej jęki niż wyrazy, a sylaby nie chwytały się jedna drugiej. Wreszcie zrobiłem wysiłek i wyjąkałem:

— Widzisz, Amelko, widzisz, co się ze mnie zrobiło!

Zacząłem drżeć strasznie. Całe ciało dygotało mi jak w febrze. Jej się wydarł jeden przeciągły jęk z piersi i zamilkła zupełnie. Wycieńczony, osłabły do ostatka, zsunąłem się na łóżko, nie mając już siły nawet myśleć o czemkolwiek. Amelka prędzej zapanowała nad sobą. Zaczęła się krzątać około mnie, to poprawiając poduszki, to mówiąc mi coś po cichu. Odrazu zapanowała nade mną i nad wszystkimi. Nie potrzebowałem mówić, ażeby mię zrozumiała. Odgadywała moje spojrzenia, przeczuwała życzenia, spełniając

wszystko dziwnie spokojnie, bez szmeru, z anielskim uśmiechem poświęcenia na ustach. A później, kiedy już przeszło moje osłabienie, kiedym zaczął uczuwać niesmak i jakby skrępowanie po tem, co zaszło—jak się zwykle kończą dla mnie tego rodzaju sceny,— ona usiadła przy mnie na łóżku i, całując mię w głowę, zaczęła się dopytywać, co cierpię, co mi najbardziej dolega. Ten pocałunek serdeczny, a zarazem dziwnie poważny, ukoił mię najwięcej. Cicho, bez łez, bez wyrzekań, spokojnie wylałem w słowach wszystko, co mi ciężyło na duszy. Ona mnie rozumiała...

*10 Kwietnia.*

Dziś Palmowa Niedziela. Od rana jestem w najlepszym humorze. Amelka przyszła dziś bardzo wcześnie, a jednak nie mogłem się jej doczekać. Przywitałem ją takim uśmiechem utęsknienia, a zarazem radości, że mi się samemu dusza rozjaśniła od tego szczęścia. Dawno już nie miałem takiego zadowolenia, jak dziś.

Amelka przyniosła mi małą palmeczkę i zawiesiła nad łóżkiem. Jakaś świeżość wiosny powiała mi z listków tej palmy. Ucieszyłem się nią, jak dziecko małe. Zapomniałem o chorobie, o śmierci i o wszystkich cierpieniach. Spoglądam też ciągle na te gałązki bukszpanu, czerpiąc z nich otuchę i wesele.

Amelka wiedziała, czem mi dogodzić potrafi. Sam sobie się dziwię, skąd tak nagła teraz we mnie zmiana. Śmieję się, jak żak szkolny, Stachowi i Zośce figlów kilka wypłatałem, Amelkę raz po raz po rękach całuję, a oni też, widzę, weseli jakoś wszyscy. I z czego?

Przecież nic się nie zmieniło; co przyjść miało, przyjdzie, a jednak...

Wreszcie, co mi tam. Na co się bawić w dociekania, kiedy mi i tak dobrze. To Amelka, to ona tyle ciepła rozprasza dokoła. Jej obecność jest mi już tak niezbędną, że mimowoli gonię ją wzrokiem po pokoju, żeby na chwilę z przed oczu nie stracić. Dosyć mi jest czuć ją przy sobie, trzymać jej rękę, ażeby się uspokoić i rozproszyć ponure myśli. A ona wie już o swoim wpływie na mnie. Z jej uśmiechu, z jakim się do mnie zwraca, ciągle widzę, jak dalece pewną jest siebie. Wzięła mnie też w zupełną kuratelę. Robię wszystko, co tylko każe, ani próbując się sprzeciwiać. Pewną jest, że się jej nie oprę w niczem. Do tego doszło, że ona już trzyma u siebie papierosy, wydzielając mi od czasu do czasu po jednemu; a jeśli na moję najpotulniejszą, wprost dziecinną prośbę odpowie: „Nie można, kochanku,“—ja powtarzam tylko: „A, jak nie można, to co innego“ — i koniec.

Mnie z tem dobrze. Dogadza mi to zdziecinnienie, uwalniając od potrzeby myślenia o sobie. Poddaję się cudzej woli, bom już zanadto skoła-

tany, żeby się na własną zdobyć. Niemal myślećbym pragnął także myślą cudzą, byle tylko zrzucić własny ciężar duszy — i zapomnieć, choć na chwilę zapomnieć. Jest nieraz rozkoszą unicestwienie się moralne, kiedy własna myśl po otchłaniach gdzieś krąży. Niemocą a rozpaczą strawiona dusza staje się ofiarą silniejszego organizmu. Temu tylko Mahomety, Savonarole, Napoleony winny swoje powodzenie i entuzyazm, jaki wzbudzili. To tak dobrze, kiedy z własną myślą uporać się trudno, zaufać komuś ślepo, zrobić go swojem sumieniem, i tak iść za rozkazem, iść — choćby po stopniach tronu, albo rusztowania...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Cały dzień dzisiejszy to uroczystość dla mnie. Rano gawędziliśmy sobie swobodnie, wesoło nawet, na temat wspomnień z lat dawniejszych. Amelka potrafi poprowadzić ogólną rozmowę, z zadziwiającą zręcznością i przeczuciem omijając wszelkie kwestye, dla mnie drażliwe i bolesne. Nie jest już to ta banalna rozmowa, jaką musiałem prowadzić dawniej, wszczynana niby to dla rozerwania myśli. Dziś z zajęciem prawdziwem śledziłem ich słowa, sam przyjmując żywy udział; a choć mi tam gdzieś w tyłach czaszki dźwięczała jakaś nuta ponura, udawało mi się ją stłumić.

Być może, iż pogoda też wpłynęła na mnie tak uspokajająco. Po tylu dniach ciemnych, zgni-

łych, słońce raz przecież zajrzało mi w okna. Dziwna rzecz! wobec tego blasku najbardziej ponure obrazy, jakie przez kontrast wywołuję umyślnie, tracą na swej barwie. Nawet stanie w kościele po śmierci nie wydaje mi się już tak strasznem, byle tylko blask słońca przez okna mi padał. No, zapewne, że lepiejby było nie umierać wcale, — ale cóż robić?

Zrobiłem dziś dosyć ważne spostrzeżenie. Kiedy na niebie chmury, świat się nurza w błocie i wszystko dokoła nasiąka melancholią ponurą, mnie tem przykrzej umierać. Cóż to znaczy? — że mi straszno umierać nie dla świata całego, nie dla myśli o rozstaniu z życiem, ale dla tej śmierci samej. Ja się śmierci boję. Ona tylko jest straszydłem moich nocy bezsennych. Gdybym życia żałował, to przecież ta ponętna jego postać, w jakiej je widzę dzisiaj, powinnaby pogłębiać tylko żal za niem. A mnie dziś inne myśli w głowie: raduję się, że i na grób mój czasem kilka słońca promyków spadnie. I jeżeli śmierć jest mi jeszcze groźnem widmem, to tylko o ile w niej będzie nocy i chłodu wilgoci. Więc już i nie przed śmiercią samą lęk w duszy uczuwam, ale przed tą przeraźliwą otchłanią ciemności, gdzie i chłodno, i czarno i niema nadziei. Ach... tego tylko się boję...

Gdybyż choć w dzień, przy słońcu, umierać mi przyszło!...

*11 Kwietnia.*

Jestem rad, jestem nadzwyczajnie rad, że to święta teraz. Zosia, Stach i Amelka są ciągle przy mnie, a to mi nietylko nie ciąży, ale przeciwnie — prawdziwą rozkosz sprawia.

Stacha miękko dosyć namawiałem do wyjazdu do matki. On mi głupstwa gadał, jak zwykle, pomawiając o brak serca i wiary w niego, skoro mogłem choć na chwilę przypuścić, że odjedzie,— i, naturalnie, pozostał. Ja chciałem brawować altruizmem, nakłaniając go do wyjazdu, choć sam czułem, że nie zdobyłbym się na tyle siły, aby go pożegnać. On dobry, za dobry dla mnie. Nie umiałem nigdy ocenić tej z głębi duszy prawej istoty, pełnej poświęcenia dla drugich, zaparcia się dla siebie samego. Już mu się też za to nie będę mógł odwdzięczyć nigdy!

Teraz, ile tylko zdołam, popieram jego sprawę u Zosi. Co prawda, nie wiele tu już jest do zrobienia, a raczej nic zupełnie, bo ona dawno już tę kwestyę w swojem sercu rozstrzygnęła. Dość spojrzeć na nich, kiedy siedzą oboje pod oknem i coś ciągle szepcą sobie na ucho, żeby się o tem upewnić.

Nawet Amelka, która o niczem dotąd nie wiedziała, dostrzegła to odrazu pierwszego dnia— i, widzę, zaczyna ich traktować w odpowiedni sposób, uśmiechając się pobłażliwie. A mnie nie rażą już te romanse, choć to może niestosowna

do nich pora. Trudno—oni tak młodzi oboje, nie potrafią jeszcze robić ze swej miłości ustępstw dla otoczenia. I tu egoizm; ale to także naturalny, musowy egoizm. Wreszcie, gdzież go niema? Mnie przyjemnie jest nawet patrzeć na nich z boku i obserwować, jak zwykle. Nie przeszkadzamy też im zupełnie, oboje z Amelką odgrywając rolę starszych, opiekunów. Rozmawiamy o nich ciągle, a ja staram się jak najlepiej usposobić Amelkę względem Stacha, żeby potem była przychylną ich projektom.

Szkoda, że już ich szczęścia oglądać nie będę!

Dlatego też pozostawiam im zupełną swobodę, niemal odganiam od siebie, byle i tej odrobiny ich rozkoszy nie rozwiać. Sam się wygrzewam w tem cieple miłości, raduję nadzieją marzonego ich szczęścia— a to mię jakimś lepszym, wyrozumialszym czyni. I tu Amelki dzieło— to ona nauczyła mię w tem źródle szukać ukojenia.

*12 Kwietnia.*

Dziś długo bardzo rozmawiałem z Amelką o wszelkich naszych interesach. Chwała Bogu, że wszystko składa się jak najlepiej. Pomijając inne ważne sprawy, ucieszyło mię niezmiernie, że będzie mogła pozostać w Warszawie około dwóch miesięcy, gdyż tak się już ułożyła, wyjeżdżając ze wsi. Przynajmniej Zosia nie będzie mi już

stała na sumieniu. Co onaby biedaczka zrobiła, pozostawszy tu tak samą po mojej śmierci! Razem z Amelką łatwiej jej będzie pierwsze tygodnie przebiedować, zanim się oswoi z tem przejściem. Na Stacha też liczę: on ich nie opuści w nieszczęściu.

Co do kwestyi pieniężnej, też już jestem spokojniejszy znacznie. Na moję wzmiankę, że, w razie czego, mogłyby się udać do ciotki, Amelka zamknęła mi usta i pokazała 90 rs., które przywiozła z sobą. To pieniądze pewnie naprzód wzięte, albo mozolnie uciułane latami pracy,—no, ale cóż robić, o Boże! co robić? Ja już sam dla siebie, jako żywy, niczego żądać nie będę, — a i dziś gniewałem się na Amelkę, że mi koniaku jakiegoś starego przyniosła,—ale przecież nie odwrócę od nich tych kłopotów, jakie swoim trupem sprawię. Wreszcie męczy mnie już myśl o tem wszystkiem. Głowa mi nieraz pęka, doprawdy, gdy sobie uprzytomnię to wszystko, co ich czeka. Wdzięczny jestem Amelce, że mi choć trochę ulżyła tego ciężaru. Ona może umyślnie tak się spokojnie zapatruje, aby mnie nie nękać bardziej,—ale ja chcę, chcę wierzyć temu, co mówi. Jeżeli rzeczywiście co złego ich jeszcze w życiu czeka, ja już nie potrafię nic zaradzić temu. A cóż im przyjdzie z tego, że umrę w zwątpieniu? Im to nie polepszy doli, a mnie stokroć bardziej jeszcze zatruje ostatnią godzinę.

Niech już więc mię okłamują, niech grają komedyę, abym ja tylko mógł im uwierzyć.

Amelka chce koniecznie pozostawać u mnie i na noce, ale ja nie mam serca przyjmować od niej tej ofiary. Ona dobra, sama się o to naprasza i niemal domaga, mówiąc, że jej stokroć gorzej spędzać noce zdala ode mnie, w niepokoju, z myślą, że ja tu sam leżę, prawie pozbawiony opieki. Mnie się serce rwało, żeby powiedzieć jej: „zostań, bądź ciągle przy mnie, bo mi straszno tak w nocy samemu,“ ale wzgląd na jej zdrowie zatrzymywał mi słowa na ustach. Wreszcie sam nie mam najmniejszego pojęcia o tem, jakby to urządzić można. Trudnoż Stacha wypędzać z własnego mieszkania; przytem i jego pomoc może się okazać potrzebną. Amelka wspominała coś o fotelu, o parawanach, wreszcie o gotowości pani Sawickiej odstępowania jej na noc salonu, który z naszym pokojem graniczy, — ale wszystko to upadło wobec mego uporu. Czując, że uledz mogę jej natarczywym prośbom, zaciąłem się tembardziej, okazując sztuczne rozdrażnienie, żeby nie nalegała dłużej. Ustąpiła w końcu, ale widziałem dobrze, że na tem nie poprzestanie i że w ten lub inny sposób postawi na swojem. Poczciwa, doprawdy, ta pani Sawicka. Z Amelką zaprzyjaźniła się prawie i stara się, ile może, okazać nam swą życzliwość. Drzwi od naszego pokoju do swego salonu sama ciągle otwiera, byle mi więcej powie-

trza dostarczyć. Kiedym jej coś wspomniał o mikrobach i zatruciu powietrza, o mało się nie rozpłakała, a pocałowawszy mię w czoło, powiedziała tylko:

— A, panie Rudnicki, jakże można tak źle o ludziach sądzić!

Teraz ciągle zagląda, co chwila się pytając, czy czego nie potrzeba. Amelka zagospodarowała się już u niej, jak we własnym domu. Jak długo to trwać będzie? O, jeszcze, jeszcze, choćby z miesiąc, choć dni kilkanaście!... Mój Boże!...

*15 Kwietnia.*

Piszę, ażeby się nie dać pochłonąć bezprzytomności.

Z wysiłkiem kreślę te litery. Od wczoraj cierpię strasznie. Ból w piersiach przeszedł już w wyrafinowaną męczarnię. Żar we wnętrznościach, w płucach szarpanie, jakby je pies zgłodniały wygryzał, w myślach bezład...

O, Boże! niech się już nie męczę dłużej!... Dosyć, dosyć! sam do śmierci wyciągam ramiona...

Po co te męki? Aaa... piersi, piersi! Tak skonać można... Boże... Boże!...

Już nie mogę... nie!...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Znów piszę. Muszę, chcę być przytomnym. Jeżeli to już koniec się zbliża, niech wiem, niech

sam czuję... Przecież pożegnać się trzeba... spojrzeć na świat jeszcze... Trzeba, trzeba, bo to już na wieki, bo go już więcej nigdy nie zobaczę... Aby przytomnie, aby przytomnie!.. Chcę patrzeć do ostatka... Tam już nic nie będzie...

A może morfina mię uspokoi? A on tak długo nie przychodzi! Czego oni tak płaczą? — że jęczałem głośno? To nie ja jęczę, to ten pies tak wyje, co mi piersi wciąż kąsa. Zabijcie go, zabijcie! — bo to potwór, co mi życie wyjada...

*18 Kwietnia.*

Dzień wczorajszy był dla mnie prawdziwym dniem pożegnania ze światem. To, co było wczoraj, już się nie powtórzy nigdy; wiem o tem i dlatego z rozkoszą wspominam o każdym szczególe. A był to dzień piękny. Już od dziesiątej byłem otoczony wszystkimi. Spokojnie, nawet wesoło, zaczęliśmy się dzielić jajkiem. Ja mówiłem dużo, życząc im szczęścia i zdrowia na całe życie. Mnie nikt niczego nie życzył, bo nie było czego. Całowali mnie tylko, siląc się na spokój, Tylko Zosia zapłakała. Potem jedliśmy święcone. Dzięki staraniom Amelki, było wszystkiego po trochu, nawet wina butelka. Wdzięczny jej byłem za to, że się tak starała uczynić zadość wszystkim tradycyom. Dawniej śmiałem się z tych uroczystości obżarstwa; wczoraj śledziłem z niepokojem, czy czasem nie opuszczono jakiego szcze-

gółu. Chciałem pożegnać nawet słabostki świata, dlatego, że są uświęcone wspomnieniami. Amelka wiedziała o tem. Mnie nie o jedzenie chodziło przecież: i tak nic nie jadłem; szło mi o zwyczaj, o pamiątkę, o wyzyskanie prawa korzystania z życia. Cały świat robił toż samo; dlaczegóżbym ja miał odróżniać się od niego? Przecież żyję jeszcze. To *jeszcze* jakąś rozkoszą mię napawało. Z początku tylko Amelka była wesołą. Może udawała, ale dobrze zrobiła. Ja jej starałem się dopomagać, całemi siłami poddając się sztucznemu z początku nastrojowi wesela. Wiedziałem, że gramy komedyę, ale i to mnie zadawalało. Wkrótce jednak i udawać nie trzeba było. Na moje uparte nalegania cała butelka wina wypróżniła się szybko. Stach, jako nie pijący, wymawiał się przy pierwszym kieliszku, ale potem sam z jakąś natarczywością dopominał się ciągle i pił jeden po drugim. Chciał zalać robaka. Ja piłem także, zmuszając do tego Amelkę i Zosię.

Zrobiło się naraz gwarno i wesoło. Ja mówiłem najwięcej. Upajałem się po prostu tą ogólną wesołością, jaka zapanowała, ciągle pamiętając, że się już śmieję po raz ostatni w życiu.

Tak zeszło godzin kilka. Wreszcie znużony zasnąłem na kilka godzin. Przez czas mego snu urządzono mi niespodziankę, najprzyjemniejszą, najrozkoszniejszą dnia tego. Amelka, korzystając z zamiaru p. Sawickiej spędzenia całego wieczo-

ru poza domem, prosiła ją o pozostawienie salonu do naszej dyspozycyi. Wobec chętnego jej zezwolenia zakrzątnięto się około przygotowań. Zosia pobiegła do siebie po nuty, Stach naznosił zkądś doniczek z kwiatami i obstawił niemi dokoła cały fotel, na którym miałem siedzieć, Amelka zajęła się przygotowaniem kolacyi.

Kiedym się obudził o siódmej wieczorem, wszystko już było gotowe. Stach wziął mnie na ręce, przeniósł do salonu i usadowił w fotelu, okładając ze wszystkich stron poduszkami.

Dziwna rzecz, — już sam ten wielki salon, umeblowany elegancko i oświetlony lampami i kinkietami, już sama ta zmiana otoczenia, w jakiej się znalazłem, wywarła na mnie ogromne wrażenie. Po dwóch miesiącach leżenia wśród tych ścian czterech, gołych, aż do rozpaczy jednostajnych, znienawidzonych w godzinach nocy, cóż dziwnego, że taka błahostka, jak znalezienie się w innym pokoju, podziałała na moje nerwy. Wszystko mi się jakiemś nowem, niezwykłem wydało. Patrzyłem na obrazy, na fortepian, na meble, jakbym je pierwszy raz w życiu oglądał.

Oni rozmawiali z sobą, mówili coś i do mnie, alem ja nie mógł oderwać uwagi od wzroku. Jakiś marsz, czy polonez, odegrany przez Zosię, też nie mógł mię wyrwać z tego osłupienia.

Tak zeszło z pół godziny.

Im ciężyć musiał ten mój spokój niepojęty, dlatego też prędzej, aniżeli w programie było uło-

żone, zasiedliśmy do kolacyi. Teraz dopiero miałem sposobność podziwiania Amelki. Skąd ona nabrała tego wszystkiego, co się znalazło na stole? Jedzenia, co prawda, nie było wiele: dla mnie befsztyk, dla nich zimne mięsiwa, — ale zato talerzyków, talerzy, spodków, nożyków, podstawek, szklanek, kieliszków — cała wystawa. Stół był kompletnie zastawiony tem wszystkiem. Cały kredens p. Sawickiej musiał być wypróżniony. Czułem to dobrze, że Amelka w ten sposób chciała uświetnić tę uroczystą chwilę, i wdzięczny jej byłem za to.

Rzeczywiście, wszystko miało pozór niezmiernie uroczysty. Zasiedliśmy, jak do uczty. Amelka, nadrabiając miną, odgrywała rolę gospodyni domu, umyślnie przesadzając trochę. Mieliśmy się bawić, jak dzieci, w gości i gospodarstwo, żeby choć sztucznie wywołać odrobinę humoru. Ale ja byłem poważny. Czułem jakieś skrępowanie, rozumiejąc dobrze, że cała ta maskarada została obmyśloną tylko dla mnie, tylko dlatego, żebym ja w nią uwierzył. Chciałem udawać, że się poddaję temu zdziecinnieniu, chciałem, by wierzyli, że ja wierzę, — lecz nie mogłem. Kiedy oni wysilali się na wesołość i podtrzymanie rozmowy ze mną, ja z zajęciem śledziłem wszystkie szczegóły nakrycia.

— Więc tak wygląda podstawka? Dobrze, trzeba to zapamiętać. Więc tak się ustawia serwis na stole? Żeby tylko nie zapomnieć! Więc tak

się odbija białość obrusa na twarzach siedzących? Więc tak się jada kolacyę? Żeby to tylko spamiętać dobrze! żeby nie opuścić żadnego szczegółu z uwagi!

Takie myśli przesuwały mi się po głowie. Nie było żadnego spojrzenia, któreby nie było pożegnaniem. I z czem się żegnałem? Z podstawkami, z nożykami, z grą światła w krysztale, białemi odblaskami obrusa? A jednak żegnałem się.

Było mi przyjemnie i błogo jakoś, ale zarazem niewypowiedzianie smutno.

Jeden najbardziej szczegół napełniał mię rozkoszą.

Siedziałem!

Siedziałem razem z nimi, nie wyróżniając się niczem, równy we wszystkiem im, zdrowym. To mię w jakąś dumę z samego siebie wbijało. Wreszcie, widząc się w koszuli tylko, a ich ubranych zupełnie, zażądałem munduru.

Ubrali mnie.

Cieszyłem się jak dziecko. Ciągle spoglądałem to na moje piersi, na których błyszczały guziki,—to na ręce, już teraz nie tak okropnie swą chudością rażące...

I także się żegnałem, — ale teraz już z sobą samym, z sobą,—jako zdrowym i żyjącym jeszcze, z sobą, — jako z człowiekiem, który żył, myślał i walczył, a którego nie ujrzę już więcej.

A wreszcie — tyle wspomnień związało się z tym wytartym mundurem, tyle nadziei!..

Byłem smutny. Oni wiedzieli to dobrze i tembardziej starali się wciągnąć mię w wir rozmowy i gwaru. Amelka umyślnie szczękała kieliszkami i talerzami, mówiła głośno, usilując sprawiać jak najwięcej hałasu, byle tylko ożywić ten ogromny salon i zapełnić choć zgiełkiem. Sama dolewała nam wina, udawała podchmieloną i zachęcała wszystkich do picią. Ja piłem chciwie.

A jednak nie szło nam jakoś. Wszyscy chcieliśmy powrotu rannej wesołości, — ale może właśnie dlatego, żeśmy chcieli, nie mogliśmy się jej dobić. Niby było wesoło, ale już jakiś cień skrępowania i musu zakradł się między nami. Ja zanadto chciałem badać wszystko i wyzyskać każdy drobiazg, ażebym się mógł dać porwać wrażeniu.

W końcu wstaliśmy od stołu, nie wiedząc dobrze, co robić dalej. Zosia dopiero przyszła nam w pomoc i jej zawdzięczam te kilka chwil boskich, jakie miałem wczoraj. Zawsze zachwycała mię swoją grą, ale tu dała już koncert prawdziwy.

Wysunięty z fotelem na środek salonu, wsparty wygodnie na poduszkach, poddałem się zupełnie wpływowi muzyki. Co grała Zosia, nie pamiętam dobrze. Nie słuchałem wcale, tylko słyszałem, a myśli moje zespalały się z muzyką i były nią samą. Śród tego mnóstwa znajomych mi melodyj — bo Zosia umyślnie wybierała moje najulubieńsze — rozróżniałem tylko Fantazyę Leybacha, księżycową sonatę i „Stabat Mater“ Rossiniego.

Ile czasu tak zeszło, nie pamiętam zupełnie. Zatopiony w tej powodzi tonów, owładnięty całkowicie ich czarem, o niczem nie myślałem: czułem tylko. Nietylko Zosia grała—grała cała dusza moja. Myśli, jeśli to myślami nazwać można, były tylko oddzielnemi tonami jakiejś jednej przecudnej symfonii, w której rozpływałem się cały. Słów tam nie było zupełnie, nawet pragnień lub wrażeń. Unosiły mię gdzieś fale to wyżej, to niżej, i dusza moja na skrzydłach tonów płynęła gdzieś w nieskończone przestworza, bez celu... w zachwycie... Zemdlałem.

Ocucony, nie chciałem opuszczać fotelu. Na moje natarczywe prośby Zosia znów grać zaczęła. Ale czar pierwszy już prysnął. Słuchałem jeszcze chciwie, ale już nie mogłem nie myśleć. Myśli biegły wciąż za tonami, lecz nie zespalałem się z niemi. Czułem, że istnieję.

Nastrój tylko muzyki udzielał się myśleniu. Początkowe skoczne melodye rozwiały wszelkie ślady przygnębienia. Rozmawiałem z Amelką i ze Stachem zupełnie swobodnie, jakbyśmy się zebrali rzeczywiście tylko dla zabawy. To była najweselsza chwila z całego wieczoru. Jedynie wąchanie eteru i nacieranie skroni kolońską wodą zwracały mię na chwilę do zwykłych, ponurych myśli.

Znów zeszła z godzina może. Zosia wciąż grała.

Wreszcie kujawiak Łady skierował nasze usposobienie na nowe tory. Ta smutno-taneczna

melodya owiała nas jakimś smętkiem i melancholią. Zamilkliśmy wszyscy, ażeby się narkotyzować muzyką.

Zosia, widocznie ulegając swemu chwilowemu nastrojowi, zaczęła wybierać sztuki coraz poważniejsze i rzewniejsze. Ja smutniałem coraz bardziej. Jakaś dziwna tęsknota, czy żal, przepełniała mi serce. Jękliwe tony fortepianu akompaniowały mym myślom.

Znów śmierć stanęła przede mną; ale już nie ta przerażająca, straszna,—tylko kojąca i upragniona. Nie bałem się jej. Gdyby mi w owej chwili ofiarowywano życie, możebym go się był wyrzekł, właśnie dla tej śmierci, uciszającej wszystkie bóle i trwogi tego świata.

Tylko było mi smutno, niewypowiedzianie smutno.

Coś mi piersi gniotło i nawet jęknąć nie pozwalało. Wreszcie oklepana melodya sentymentalnej piosenki „O gwiazdeczko, coś błyszczała,“ wycisnęła mi łzy z oczu. To mi matka zawsze śpiewała...

Nie łkałem, nie płakałem nawet. Łzy mi same po twarzy spływały, jakieś wielkie... gorące...

Wszyscy uklękli wkoło mnie, całując mi ręce. Czułem, że to ostatnie z nimi pożegnanie...

Prosiłem ich o przebaczenie za wszystko, pocieszałem, wskazując na Stacha, jako mego następcę w ich sercu... Oni strasznie płakali... Mówiłem wszystko szczerze, jak mi wprost z serca

biegło. Stacha i Zosię złączyłem razem, upominając, by się kochali zawsze. Prosiłem, by na grób mój przyszli czasem... Starą Piotrowę, niańkę naszej matki, którą wspomagałem, jak mogłem, też ich pamięci poleciłem, by głodu nie zaznała. Ale na grób, na grób mój, ciągle prosiłem, by przyszli... Mówiłem, że ja ich widzieć będę...

A potem płakaliśmy jeszcze długo...

*19 Kwietnia.*

Dogasam już widocznie. Dziś przypatrywałem się słońcu tak, jakbym go nie miał już zobaczyć więcej.

Chwila się zbliża... och, aby przytomnie tylko, aby przytomnie... i w dzień, w dzień koniecznie...

Spowiadać się nie mogę, nie chcę. Czego ta Sawicka mię dręczy? A i Amelka także... Nie wierzę, — nie mogę... Po co? I tak zgniję... Nie chcę kłamać.

*20 Kwietnia.*

Dlaczego oni nie chcą mię zrozumieć? Dlaczego Stach mię jeszcze namawia, kiedy sam nie wierzy? Mówią o jakiemś polepszeniu, o łasce Boskiej, o jakichś wypadkach... To ironia gryząca... Jak kruki mię obsiedli, spokoju mi nie dają...

Czyż nie można i bez tego skonać? Ja już się bronić nie mogę przed nimi; nic nie mówię, a oni myślą, że słucham ich nawracań. A ta Sawicka... czego ona mi spokoju nie daje?

Wreszcie to mnie oburza, wstrętem przejmuje. Nie chcę popełniać podłości hipokryzyi, nawet względem tego Boga, w którego nie wierzę. Umiem szanować cudze świętości...

A te sceny przy tem! a ten dzwonek, ta gromnica i woda święcona!...

Wreszcie jaki ksiądz da mi rozgrzeszenie? bo ja kłamać nie będę...

*21 Kwietnia.*

Trudno, zgodziłem się, wymogli to na mnie. Stach ma się zająć sprowadzeniem księdza i wtajemniczeniem go we wszystko. Bo mnieby w gardle uwiązł akt wiary...

Ach, to straszne będzie!... Chcieli dziś, ledwiem do jutra odłożył... Czyżby już tak, tak źle ze mną było? Sam siebie wciąż śledzę, by nie popaść w niepamięć. Więc to tak się umiera!... Mnie ciężko tylko i myśleć mi się nie chce... Ale jestem przytomny...

A to jakiś sławny katecheta, protektor studentów, pobłażliwy. Stach mu wszystko opowie; niech wie, niech już będzie przygotowany. A nie zechce — nie przyjdzie... żaden nie przyjdzie, ja tylko pod tym warunkiem uległem. Ale Stach

ręczy, że i tak można... Bo ja kłamać nie mógłbym przed krzyżem...

I czego oni chcą jeszcze? kogo myślą oszukać? Czy *taka* spowiedź przyda mi się na co, gdyby tam rzeczywiście coś było?

I po co mi było do nóg padać, stopy całować?...

*22 Kwietnia.*

Teraz już mogę spokojnie umierać: to on, to kapłan mi to powiedział... Jestem spokojny, nawet szczęśliwy może... O! to jego dzieło! Nie pojednał mię z Bogiem, bo nawet nie próbował tego: pojednał mię tylko z sobą samym i dał rozgrzeszenie świata... Zakończyłem już wszystkie rachunki...

A tak go się bałem!!...

„Mój synu!“ — powiedział. Dlaczego nikt tak do mnie nie mówi? Ja go w ręce całowałem, na piersi mu padłem...

„Mój synu!“

Tak, powiedział: „Mój synu!“ A ja płakać zacząłem, i strasznie, strasznie płakałem...

A potem mówiłem wszystko... Skarżyłem się na życie moje całe,—na nędzę, jaką cierpiałem,—na głód, co mi dokuczał nieraz,—na siebie, żem życie zmarnował... A on mię w głowę całował i mówił, że mi wszystko wybaczonem będzie, bom się tutaj namęczył... Sam mu wyznałem

moję niewiarę. On mi Chrystusa wskazał na krzyżu i pytał, czy go kocham w tej chwili.

— Tak — odpowiedziałem, — bo cierpiał tyle.

„*Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy cierpicie i pod jarzmem upadacie, a ja was ożywię.*“

— Ulgi! — zawołałem; a on mi krzyż do ust przyłożył. Całowałem chciwie, wpijając się wargami w umęczone ciało...

I tak długo, długo byliśmy razem. Potem weszli wszyscy, a ja przyjmowałem ostatnie namaszczenie. Klękli na środku pokoju, wpatrując się we mnie. Uśmiechałem się do nich, ale nic nie mówiłem. Leżałem odrętwiały, upojony jakąś dziwną błogością. Nie myślałem o niczem.

Raz tylko jeden przemknęła mi przez głowę, jak błyskawica, myśl buntu.

Kiedy mi namaszczał nogi, chciałem się zerwać i krzyknąć: „To świętokradztwo! nie wierzę!“

Ale on wiedział o tem... i myśl moja stopniała...

I nawet kiedy Amelkę wynosili zemdlałą, — choć wiedziałem o tem, — nie mogłem dać znaku życia.

Teraz mnóstwo myśli i pytań ciśnie mi się do głowy, ale już nie pracuję nad niemi. Coś zamarło we mnie. Ale tak lepiej... o... stokroć mi lepiej...

*23 Kwietnia.*

Czuję, że po raz ostatni mam ten ołówek w ręce.

Mdlałem dziś kilka razy, a potem... nie wiem, czy spałem, czy traciłem przytomność. Wszystko jedno...

A teraz gorączka...

W nocy majaczyłem podobno. Drzwi się otwarły i one weszły przestraszone... Może myślały, że kończę... A więc nocują tam w salonie! Czekają chwili... Wszystko mówi, że muszę umierać... Przygotowane wszystko... jeszcze trumny tylko niema... będzie... jutro... dziś nawet...

Męczę się, męczę... Już żegnać się trzeba...

Zostańcie tu z Bogiem... Żegnam was...

*25 Kwietnia.*

Dziś fijołki mi przynieśli... taki malutki bukiecik... Amelka przyniosła... Podobno wiosna już na świecie, w ogrodzie kasztany zielone... A tu niema zupełnie żadnego drzewa; pytałem się Stacha, a potem Zosi,— ale niema zupełnie, i nic z okna nie widać... Stach mi gałązkę kasztana przyniesie, ale tak długo nie przychodzi... Każę sobie nad łóżkiem zawiesić,— albo może lepiej na kołdrze położyć? Tylko zwiędnie prędko...

*27 Kwietnia.*

To było z pewnością konanie... Obudziłem się — oni klęczeli koło łóżka, patrząc się na mnie jakimś strasznym wzrokiem. Tylko przerwali mi... podobno to można tak przerwać konanie... Nie wiem... A gromnica się paliła i dawała ohydne światło. Ja widziałem wszystko, wiedziałem, o czem oni myśleli, tylko sam nie mogłem ani myśleć, ani mówić. Chciałem im coś powiedzieć, choćby ręką poruszyć, i nie mogłem. Byłem jak obumarły. Nie czułem zupełnie ciała, tylko nogi mi lodowaciały, a życie w oczy mi weszło. Tędy jedynie dusza moja łączyła się ze światem. Rzężałem i patrzyłem na nich... A oni czekali, bezlitośnie czekali... Nikt nic nie mówił... a może i mówili, alem nie słyszał. Wiedziałem, że konam, ale to mię nic nie obchodziło.

Tylko ta gromnica, ten jej blask straszny, obijający się o ściany — utkwiły mi w pamięci. A potem kamionki gorące kładli mi pod stopy, rozpinali koszulę na piersiach, ale nic nie czułem, tylko widziałem. Nie płakali wcale...

Tak zeszło do rana. Poprosiłem o wino — to były moje pierwsze wyrazy. Amelce ręce drżały, bo wylała całą filiżankę wina, grzejąc je nad lampą. Światło zgasło i zrobiło się niebiesko w pokoju.

Dalej nie wiem, co było. Oszołomiony winem, zasnąłem widać.

Teraz mi lepiej o wiele... Wiem, co to znaczy... To tak zawsze przed śmiercią. Wszystko jedno...

Ciężko mi tylko...

*28 Kwietnia.*

Dlaczegóż się to nie kończy? Czyżby noc wczorajsza była przesileniem choroby? We mnie siły wstępują. Co to wszystko ma znaczyć? Takie ostatnie polepszenie jeden dzień trwa najdłużej, a tu drugi schodzi.

Ach, na co jeszcze te męczarnie złudzenia!

A wczoraj nawet gorączki nie miałem...

*29 Kwietnia.*

Ja już od wczoraj wiedziałem, że żyć będę. A oni nic jeszcze nie wiedzą...

Życie, życie... ileż uroku w tem słowie!

A oni nic, nic jeszcze nie wiedzą. Przywołałem dziś Amelkę i powiedziałem tylko: „Wyjedziemy wszyscy,“ a ona widać nie zrozumiała, bo płakać zaczęła. Tu wszyscy ciągle płaczą, nie wiem dlaczego, może z radości?... Może im Starzecki co powiedział, a oni się boją, żeby mnie nagłą wiadomością nie wzruszyć? Ja dziś nic jeszcze mówić nie będę, ale jutro, jutro...

Wyjedziemy zaraz na wieś wszyscy, wszyscy, wszyscy... Chcę ich mieć koło siebie. Waryuję

z radości, kiedy myślę, co to będzie. Poproszę, żeby mię ciągle na słońcu trzymali — będę pił słońce. Tu z okna nie wiele widać, ale czuję, że już wszędzie musi być zielono, wesoło. I grusze po sadach pewnie już białe od kwiecia zupełnie — takie białe, jakby kto śniegiem przypruszył. A może już pojutrze wyjedziemy? Bo mnie siły ogromnie wracają. Niech mnie tylko z tego pokoju wyniosą, a odrazu zdrów będę. Uniwersytet rzucę zupełnie i do gospodarstwa się wezmę, byle bliżej słońca i zieleni. Zosia, nim za Stacha wyjdzie, przy mnie zamieszka i będzie mi ciągle grała moje najulubieńsze melodye. Dziś same arpedżia mam w uszach, a słońce i zieleń na oczach.

Że się Starzecki pomylił, nic dziwnego, cóż on!... Ale Łopacki, Łopacki!

Wreszcie czemużby i on nie miał się pomylić?... Pomylił się, nie poznał na chorobie, naturalnie, naturalnie...

* * *

Zmarł nad ranem dnia 30-go Kwietnia. Umierał bezprzytomnie.